



ERICH  
von DÄNIKEN

Str 4

„BOGOWIE  
& KOSMOSU”



GIMNASTYKA  
W MEBLACH  
GIĘTYCH

Str. 9

HUMORESKI Z IMPORTU

Str. 15

DWIE  
RANY



Str. 8

ROZBÓJ  
Z MIŁOSNĄ ZASADKĄ

Str. 7

# ODGŁOSY

ROK XVIII NR 12 (902)

20 MARCA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

„Niektóre osiągnięcia życia kulturalnego Łodzi szybciej znajdują uznanie w kraju niż na miejscu”. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego wbrew oczywistym faktom, w niektórych środowiskach uparcie krąży niesprawiedliwa opinia, że Łódź jest w dalszym ciągu „miastem trudnym, złym i niewdzięcznym”. Na to pytanie próbuje odpowiedzieć w artykule „Mity i rzeczywistość” Lucjusz Włodkowski. Wydaje się, iż tezy wysunięte przez autora winny stać się tematem głębszych refleksji nie tylko wszystkich środowisk twórczych naszego miasta. Łódź kulturalna bowiem żyje pełnią życia, ma swój bogaty dorobek, nieustannie szuka nowych form związku i wyrazu naszego przebogatego życia codziennego.

Mówi o tym, między innymi, dyrektor i kierownik artystyczny teatru im. S. Jaracza — Jan Maciejowski, kiedy analizuje w rozmowie z P. Słowikowskim proces kształtowania linii repertuarowej tego teatru.

Coraz większej sprężystości nabiera działalność Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, któremu niestrudzenie prezesuje Michał Kuna. Szlachetna pasja bibliofilską zatacza szerokie kręgi przyciągając wciąż nowych miłośników pięknej i dobrej książki, ładnego druku o okazjonalnego czy ekslibrisu. O działalności tej pozytywnej placówki pisze J. K. Andrzejewski. Redakcja zaś „Odgłosów” zaprasza na uroczystość związaną z konkursem „Łodzianie 1974”, do Klubu MPiK, gdzie między innymi prezentowany będzie bogaty zestaw publikacji i druków bibliofilskich. Szczegółowy program imprezy podajemy na stronie drugiej.

Miłośnikom literatury pięknej polecamy prozę Władysława Orłowskiego „Via Dolorosa”, która jest fragmentem powieści „Cudza miłość, cudze cierpienie”. Książka ta ukazuje się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Odnotowujemy ten fakt nie bez satysfakcji. Z przyjemnością bowiem stwierdzamy: iż w naszej oficynie wydawniczej „zaczyna się dziać coś dobrego”. Byłe nie zapeszyć.



## PORÓWNIANIA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## MITY I RZECZYWISTOŚĆ

Już kilka razy zdarzyło się, że inni powiedzieli nam: „SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE”. Niektóre osiągnięcia życia kulturalnego Łodzi szybciej znajdują uznanie w kraju niż na miejscu. Wśród łodzian panuje natomiast niemal powszechne przekonanie, że tu — w robotniczym mieście — niewiele można osiągnąć. „Trudne, złe, niewdzięczne miasto” — tak najczęściej się mówi o Łodzi, wspominając przy okazji czasu, kiedy to miasto awansowało do rangi tymczasowej stolicy kulturalnej odrodzonej Polski.

Stereotypy mają najtrwalszy żywot, bo stereotypy zastępują myślenie. Lekceważącym machnięciem ręki można załatwić wszelkie argumenty, ale nie można załatwić życia. Łódź miała trudną i skomplikowaną przeszłość — to prawda, ale na teraźniejszość miasta nie można patrzeć tylko z perspektywy przeszłości. Rzeczywistość trzeba traktować w rozwoju, jako nieustannie zmieniającą się. Można być niezadowolonym z tempa przemian, ale nie można ich nie dostrzegać.

Dalszy ciąg na str. 3

## ANATOMIA ZBRODNI (II)

ANDRZEJ BLAJER

## DWIE RANY

„Nie istnieje żaden wiarygodny dowód, który by sugerował, że strzały padły z wiaduktu kolejowego nad Triple Underpass lub z okolicy bocznych kolejowych czy jakiegokolwiek innego miejsca poza budynkiem Texas School Book Depository (teksaskiej składnicy książek szkolnych).”

(z raportu Komisji Warrena)

Powyższy fragment miał całkowicie uzasadnić tezę, przyjętą a priori przez prezydencką komisję dochodzeniową, badającą okoliczności śmierci Johna Kennedy'ego, iż Lee Harvey Oswald był jedynym zabójcą prezydenta, tezy, która, jak wiadomo, jest szkieletem całej konstrukcji raportu. Aby więc pozostała wiarygodna strzały nie mogły paść z innego kierunku, jak tylko z budynku składnicy książek.

### TRZY KULE

Czy tak jednak było w rzeczywistości? Powróćmy na chwilę do owych tragicznych chwil dnia 22 listopada. Oto, jak wyglądał ich przebieg w świetle raportu komisji dochodzeniowej. Około godziny 12,30 do samochodu prezydenta, który jechał z prędkością 10 mil na godzinę ulicą Elm Street oddano trzy strzały. Pierwszy trafił Kennedy'ego w górną część pleców (w późniejszej wersji — karku) i wyszedł, przebijając gardło, a następnie ugodził siedzącego przed prezydentem gubernatora Connally'ego w środkową część pleców. Kula złamiała piątę

zębro prawej strony klatki piersiowej i przechodząc ku przodowi opuściła klatkę piersiową przebijając prawy nadgarstek gubernatora, aby ostatecznie ugrzęznąć w środkowej części jego lewego uda.

Drugi strzał był prawdopodobnie chybiony. Kula trafiła w chodnik obok Kennedy'ego i lekko ranny został mężczyzna stojący w tym miejscu, James Tague.

Trzecia kula, która trafiła prezydenta w głowę, spowodowała śmierć. Tyle raport komisji Warrena. Z przytoczonych tu głównych ustaleń wyciągnięto ostateczny wniosek, że wszystkie trzy kule (komisja stwierdziła, iż tylko trzy) zostały wystrzelone z tyłu, z szóstego piętra budynku teksaskiej składnicy książek szkolnych przez jednego człowieka, to jest Lee Oswald, który posługiwał się karabinem typu Mannlicher-Carcano, kalibru 6,5 mm.

### OPINIA LEKARZA

Aby można było cokolwiek wyświetlić w tej ponurej sprawie, a zwłaszcza

czy, aby można było odpowiedzieć na pytanie, skąd padły strzały, trzeba chyba dokonać analizy ran, jakie otrzymał prezydent Kennedy. Prezydent po przewiezieniu do Parkland Memorial Hospital, uchodzącego za jeden z najlepszych szpitali w USA, był badany przez następujących lekarzy: Ronald Jonesa, Charlesa Carrico, Johna McClellanda, Adolpha Giessecke, Paula Petersa, Charlesa Baxtera, Marion Jenkins i Malcolm Perry. Wszyscy oni stwierdzili, iż zauważyli dwie rany — małą ranę w gardle i dużą ranę w tylnej części czaszki. Zajmijmy się najpierw pierwszą z nich.

Otóż wszyscy lekarze oświadczyli jednoznacznie, iż rana w gardle musiała zo-tać spowodowana strzałem z frontu. (Samochód prezydenta zanim padły strzały, już skręcił w Elm Street i Kennedy był zwrócony twarzą w kierunku wiaduktu kolejowego). Jeśli więc pierwszy strzał padł z wiaduktu, to rana w gardle byłaby wlotowa, jeśli zaś z budynku składnicy, do którego samochód był zwrócony tyłem, to musiałaby być raną wylotową. Rana wlotowa nie jest zazwyczaj raną szarpaną, poza tym jest mała okrągła, zaś wylotowa ma poszarpane brzości, jest duża i podłużna. Rana w gardle prezydenta była właśnie mała i po badaniu doktor Perry powiedział iż „rana miała średnicę około 5 mm. Już

Dalszy ciąg na str. 8

# INSPIROWAĆ I KIEROWAĆ

Obrazy XIV Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej, która obradowała 12 marca 1975 roku, były wielkim wydarzeniem w życiu wojewódzkiej organizacji partyjnej. Delegaci 115 tysięcy członków i kandydatów partii z województwa łódzkiego nie tylko ocenili dorobek minionych dwu lat, ale także wytyczyli nowe, ambitne zadania społeczne i gospodarcze. Przyjęto program działania, zrealizowanie którego pozwoli społeczeństwu województwa łódzkiego nie tylko wysoko przekroczyć planowane w bieżącej pięcioletniej mierze, ale też stworzyć lepszy korzystniejszy start na następną pięcioletnicę.

Założone w programie partyjnego działania zadania w przemyśle i rolnictwie wyraziście określają kierunki dalszego rozwoju Ziemi Łódzkiej. Są to zadania ambitne, ale ich znaczenie dla przyszłości województwa jest zasadnicze. Dyktują one bowiem tempo działania w każdej dziedzinie życia Ziemi Łódzkiej, stanowią trzon przemian i przeobrażeń. I wokół tych spraw koncentrowała się dyskusja na XIV Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej.

**W PRZEMYŚLE** zakłada się, że na koniec 1975 roku wartość produkcji sprzedanej odbiorcom wyniesie 80 miliardów zł, a więc będzie o 13 miliardów zł wyższa niż to przewidywano w planie pięcioletnim. Jak to osiągnąć?

Aby ten cel osiągnąć trzeba utrzymać tempo przyrostu pro-

dukcji w przemyśle województwa łódzkiego na poziomie 15 proc. Wydajność pracy musi zatem wzrosnąć w stosunku do wyników roku ubiegłego co najmniej o 12 procent, tak aby jej udział w pokryciu przyrostu produkcji wyniósł nie mniej niż 80 procent. Trzeba zatem nadal dążyć do szybszego osiągania planowanych zdolności produkcyjnych w modernizowanych, rozbudowywanych i budowanych fabrykach. Trzeba systematycznie — na miarę istniejących możliwości — unowocześniać technikę i technologię, lepiej wykorzystywać czas pracy maszyn i ludzi, sprawniej gospodarować surowcami i materiałami oraz energią, a także doskonalić nadal organizację pracy i metody kierowania przedsiębiorstwami.

Problemy te znalazły swoje

odzwierciedlenie w przemówieniach delegatów. Między innymi Tadeusz Szarlej — I sekretarz KZ PZPR w „Chemtex — Wistom” w Tomaszowie Mazowieckim mówił o postępie modernizacji przedsiębiorstwa, co wpływa nie tylko na podniesienie produkcji i poprawę warunków pracy, ale stwarza też nowe możliwości inwestycyjne. Kierownictwo i organizacja partyjna „Chemtex — Wistom” widzą potrzebę wybudowania nowej wytwórni włókien chemicznych. Postulat ten wynika nie tylko z ambicji załogi, ale jest racjonalnym wynikiem analizy jej wiedzy, umiejętności i potrzeb kraju.

**W ROLNICTWIE** zakłada się, że pod koniec 1975 roku wartość globalnej produkcji powinna wynieść około 33 miliardów zł, a więc o 3,9 miliarda zł więcej niż przewidywano w planie pięcioletnim. Zakłada się, że produkcja roślinna wzrośnie w stosunku do roku ubiegłego o 4,6 proc., a zwierzęca — o 10,6 procent.

Wielu delegatów, zabierając głos na konferencji uwagę swoją koncentrowało głównie na sprawach rozwoju rolnictwa. Uchwały XV Plenum KC PZPR postawiły przed rolnictwem Ziemi Łódzkiej poważne i trudne zadanie zwiększenia udziału w realizacji programu żywienia narodu. Rolnictwo posiada jeszcze znaczne rezerwy, nie wszystkie gospodarstwa osiągają należyte wyniki. Istnieją poważne możliwości przekazywania ziemi młodym, dobrze przygotowanym gospodarzom, którzy gwarantowałyby trwale wprowadzanie nowoczesnych metod pracy. Rozwijają się nowe formy zespołowego gospodarowania, utrwalają się związki rolników indywidualnych z PGR i spółdzielniami produkcyjnymi. Utrwała się na wsi pozycja i rola kółek rolniczych.

Intensywność tych procesów na wsi łódzkiej jest jednak jeszcze niedostateczna. Dlatego wielu delegatów — jak na przykład rolnicy: Franciszek Kęsoń, Henryk Kulak, a także między innymi I sekretarz KP PZPR w Łasku, Włodzimierz Kozar — mówiło o rozwoju pracy partyjnej na wsi, podkreślając wielką odpowiedzialność, jaka spoczywa na organizacjach partyjnych, instancjach gminnych, zwracając uwagę, że zadania województwa łódzkiego w realizacji programu żywienia narodu można będzie osiągnąć z powodze-

niem również dzięki doskonaleniu form pracy partyjnej na wsi. W dyskusji o sprawach rozwoju rolnictwa w województwie głos zabierali na forum konferencji Zbigniew Getrych — dyrektor Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach i Szczepan Pieniążek — dyrektor Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach.

Pomyślna realizacja programów rozwoju przemysłu i rolnictwa warunkować będzie spełnienie tych wszystkich zamierzeń, jakie w programie partyjnego działania przyjęła XIV Wojewódzka Konferencja Partyjna. Jednakże — jak to podkreślił w referacie wygłoszonym na konferencji I sekretarz KW PZPR — Zbigniew Zieliński przede wszystkim o powodzeniu tych ambitnych zamierzeń decydować będzie kierownicza rola partii.

„Siła naszej partii — mówił Zbigniew Zieliński — polega właśnie na leninowskich zasadach organizacji wyrażających się w dyscyplinie i aktywności wszystkich jej ogniw i członków. Konsekwentne wypełnianie przez instancje i organizacje partyjne inspiratorskich i kontrolnych funkcji, ich zdolność ideowego i organizatorskiego oddziaływania na społeczeństwo, to warunek zasadniczy skuteczności naszej pracy”.

Z przemówień delegatów 115-tysięcznej wojewódzkiej organizacji partyjnej przebijało przekonanie, że kierowniczej roli partii nie można ograniczać tylko do roli i znaczenia instancji partyjnych, jest to bowiem obowiązek wszystkich organizacji partyjnych. Powinny one nieprzerwanie doskonalić umiejętności sterowania procesami społecznymi zarówno w mieście jak i na wsi, doskonalić swoją rolę inspiratorską, dążyć do utrwalenia socjalistycznych stosunków społecznych.

XIV Wojewódzka Konferencja Partyjna wybrała nowe władze: Komitet Wojewódzki i Wojewódzką Komisję Rewizyjną.

Na pierwszym plenarnym posiedzeniu Komitet Wojewódzki PZPR w Łodzi wybrał Egzekutywę i Sekretariat. I sekretarzem KW PZPR został Zbigniew Zieliński, sekretarzami: Ludwik Maźnicki, Jan Debowski, Włodzimierz Mielczarek i Tadeusz Stasiak.

L.W.

## MARIAN JAESCHKE



Autoportret — 1971

W Galerii Propagandy Sztuki (Park im. Sienkiewicza) otwarto jubileuszową wystawę artysty malarza Mariana Jaeschke.

MARIAN JAESCHKE (ur. 12. 12. 1904 r.), absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, jest związany z Łodzią od czasów wyzwolenia i bierze czynny udział w większości pokazów środowiskowych i ogólnopolskich. Poza działalnością twórczą posiada poważny dorobek pedagogiczny na terenie Łódzkiej PWSSP, gdzie od szeregu lat kieruje katedrą rysunku i malarstwa.

Aktualna wystawa jest wystawą jubileuszową z okazji 40-lecia pracy twórczej i ma charakter retrospektywny. Artysta wystawił 93 prace (olej na płótnie). Najstarsza z nich pochodzi z 1935 r. (Jedyna ocalała w czasie wojny), najmłodsza — z ostatnich miesięcy.

Marian Jaeschke jest odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury.

## ŁODZIANIE 1974

23 marca br. (niedziela) o godzinie 17 w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi, ul. Narutowicza 8/10, spotykamy się wszyscy z laureatami konkursu-plebiscytu „Łodzianie Roku”. Są nimi: o czym już donosiliśmy:

Henryk Czyż  
Zdzisław Haś  
Jadwiga Hryniewiecka  
Michał Kuna

Podczas tego spotkania wręczymy także nagrody wylosowane przez nas dla czytelników, którzy wzięli udział w głosowaniu plebiscytem, przyczyniając się do jego powodzenia.

W części artystycznej nastąpi otwarcie wystawy zbiorów bibliofilskich MICHAŁA KUNY (katalog ekspozycji znajdzie czytelnik w bieżącym numerze „Odgłosów” na stronie 5 i 6). Aktorzy scen łódzkich KAROL OBIDNIAK i JAN ZDROJEWSKI czytają będą najciekawsze utwory publikowane na łamach „Odgłosów” w ostatnim sezonie.

Artysty Filharmonii Łódzkiej: ZENON HODOR (skrzypce) oraz EDWARD PRZYŁĘCKI (fortepian) przygotowali na naszą uroczystość koncert kameralny.

Pragniemy im tą drogą podziękować za bezinteresowny udział i poparcie dla naszej imprezy. Wszystkich zaś Czytelników „Odgłosów” raz jeszcze serdecznie zapraszamy na spotkanie z Łodzią 1974.

REDAKCJA

## NIE TYLKO HISTORIA

### ZAUFANIE DO SPECJALISTY

„Współczesne środki masowego przekazu — mówił Edward Gierek na wojewódzkiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Katowicach w 1973 r. — ułatwiają informację i propagandę polityczną oraz działalność oświatową. Są to potężne narzędzia kształtowania świadomości społecznej i powinniśmy z nich coraz lepiej korzystać. Błędny byłby jednak pogląd, iż w dobie radia i telewizji traci na znaczeniu słowo żywe i osobisty przykład. Bezpośrednia, żywa, zindywidualizowana praca ludzi zawsze będzie podstawą naszej partyjnej działalności. Taka praca jest dzisiaj nieodzowna, warunkuje powodzenie naszych ambitnych zamierzeń”.

Warunkiem powodzenia w pracy uświadamiająco-propagandowej jest jednak nie tylko to, co mamy w niej do przekazania, lecz również i to, jak to czynimy. I tutaj właśnie codzienna praktyka może wiele skorzystać z zdobyczy nauki, mianowicie z osiągnięć współczesnej psychologii i socjologii propagandy.

Sprawa języka, w którym

przekazujemy dane treści — ileż tu zagadnień, zasługujących na baczną uwagę nie tylko uczonemu, ale każdego publicyście, prelegenta, agitatora! Psycholog zauważa, że niepoprawność języka może wywierać „negatywny wpływ na recepcję przekazywanych treści”, że niewłaściwe użycie takiego bądź innego wyrazu wywołuje u odbiorcy negatywne stany emocjonalne: rozśmiesza, oburza, dziwi, a nie raz po prostu ośmiesza samą wypowiedź.

Zrozumiałość języka: W. I. Lenin pisał, a słowa te nie utraciły aktualności: „używamy obcych słów bez potrzeby... Przypnijmy, że o ile nadużywanie obcych słów bez potrzeby irytuje mnie (gdyż przeszkadza nam oddziaływać na masę), to niektóre błędy dziennikarzy mogą już zupełnie wytrącić z równowagi”.

Lesław Wojtasik w swej książce „Psychologia propagandy politycznej” (PWN, wydanie 2, 1975) podaje interesujące wyniki badań ankietowych nad komunikatywnością języka prasowego. W 1964 r. zwrócono się do grupy czytelników Chłopskiej

Drugi z prośbą o określenie znaczenia dziesięciu wytypowanych słów, a mianowicie: inagurować, koordynować, efekt, kooperacja, specyficzny, pertrakcja, destrukcyjny, dysproporcja, koncentrować, korupcja. Słowa te — trudno temu zaprzeczyć — występują nad wyraz często w naszej prasie i nie uważamy ich nawet za szczególnie niekomunikatywne.

Inaczej jednak sędził czytelnicy gazety, skoro wyniki ankiety były następujące: udzielono 15 proc. odpowiedzi całkowicie poprawnych, 25 proc. zawierało 1—3 błędy, 30 proc. aż 4—6 błędów; 30 proc. badanych w ogóle nie odpowiedziało na pytanie. W 1964 r. L. Wojtasik przepowiedział podobne badania nad znajomością terminów, zacierpniętych z dziesięciu kolejnych numerów Trybunu Ludu i Żołnierza Wolności. Wybrał następujące słowa: cybernetyka, taksyzm, stereofonia, egzystencjalizm, frustracja, maszyna analogowa, apogeu, liczba Macha. Odpowiedzi poprawne przedstawiały się w sposób następujący: apogeu — 41 proc. cybernetyka — 30 proc.

liczba Macha — 26 proc. taksyzm — 26 proc. egzystencjalizm — 22 proc. stereofonia — 18 proc. maszyna analogowa — 16 proc. frustracja — 6 proc.

Wspomniane badania — podkreśla L. Wojtasik — prowadzą nie tylko do wniosku o niewielkiej znajomości słów obcych. „Z badań tych wynika jeszcze inny wniosek: osoby badane niewłaściwie rozumieją pewne terminy, podkładają pod nie inne treści. Jest to zjawisko szczególnie niebezpieczne dla prawidłowej recepcji treści werbalnego przekazu propagandowego”.

Wreszcie kompleks zagadnień, związanych z formą przekazywania treści: mówiona bądź czytana. Czesłowska badaczka P. Karvaszowa zwróciła uwagę na sprawę, znaną z doświadczenia każdemu niemal wykładowcy, a mianowicie, że w tekście mówionym bywa zazwyczaj więcej słów, zaś mniej informacji niż w tak samo długim tekście czytanim. Byłby to argument za czytaniem wszelkich publicznych wystąpień gdyby nie wzgląd, że znacznie więcej przemawia przeciwko niemu. „Wariant mówiony” okazał się bowiem mimo pewnych niedostatków (tendencja do rozwelekości itd.) wyraźnie bardziej komunikatywny od pisanego, a

potwierdziły to wnioski, wynikające z badania efektywności zapamiętywania tekstu mówionego i czytanego. Okazuje się więc, że słuchacze zapamiętali ponad 33 proc. informacji mówionych, a zaledwie około 10 proc. tych, które im odczytano. Przewaga mówienia nad czytaniem w działalności propagandowej zdaje się więc nie ulegać wątpliwości, chociaż za L. Wojtasikiem należałoby zauważyć i pewne wyjątki, jak np., że odczytywanie tekstu służy niejednokrotnie dla podkreślenia jego szczególnego znaczenia.

Czy efektywność przekazywania treści zależy również od tego, kto je przekazuje? Niewątpliwie tak: jest to nowy, szeroki krąg problemowy. Prócz innych czynników, takich jak osobowe cechy mówcy itd., posiada tu również znaczenie autorytet osoby występującej przed publicznością. W badaniach autorów amerykańskich stwierdzono, że te same treści były odbierane w inny sposób w zależności od tego, kto je przedstawiał. Zaprezentowano więc badanej zbiorowości radiowy wywiad, będący apelem o łagodne traktowanie młodocianych przestępców. Pierwszej grupie osób przedstawiono osobę, udzielającą wywiadu, jako sędziego dla nieletnich, drugiej — jako ulicznego przechodnia, trzeciej wreszcie — ja-

ko człowieka, który kiedyś sam był przestępcą. A wyniki?

„Osoby badane miały odpowiedzieć na pytanie dotyczące jasności wypowiedzi. Jako najbardziej jasną uznano: wypowiedź sędziego (73 proc.), przechodnia (63 proc.), byłego przestępcy (29 proc.)” Zrozumiałe, że odpowiedzi były pod względem treści identyczne. Różnice w ocenie jasności wypowiedzi zależały w tym wypadku od stopnia zaufania do osoby, udzielającej odpowiedzi, od jej autorytetu.

Wynika z tego wniosek praktyczny, a mianowicie, że nadzszel już kres „uniwersalnym propagandzistom”, takich którzy raz mówią o gospodarce, kiedy indziej o kościele, a zaraz potem o zaopatrzeniu ludności w wodę (bieżącą, nie propagandową), że o sprawach fachowych powinni się wypowiadać przede wszystkim ci, którzy mają o nich coś do powiedzenia, również, jeśli nie przede wszystkim, w pracy propagandowej. Na pewno też większa będzie skuteczność oddziaływania propagandowego, kiedy zamiast faceta „od wszystkiego” o sprawach gospodarczych będzie mówił ekonomista, o technice inżynier, zaś o polityce działacz, mający z nią na co dzień do czynienia. Takie są wymagania współczesności.

LEKTOR

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN IANICKI (redaktor techniczny) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ SIKOWSKI (ręstpca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), IERZY WILMAŃSKI (drug. sekretarz).  
Stale współpracują: ANDRZEJ P. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

# PORÓWNIANIA

Dalszy ciąg ze str. 1

## NA TROPIE STEREOTYPOW

W 1964 roku studentów warszawskich uczelni zapytano, gdzie chcieliby po ukończeniu studiów osiąść na stałe. W ich odpowiedziach Łódź znalazła się dopiero na... 13 miejscu. Zaledwie 17,1 proc. biorących udział w ankiecie Łódź wybrało jako miejsce przyszłej pracy i życia.

Zdecydowana większość wybierała Warszawę i to jest zrozumiałe. Wybrano również Kraków, Gdańsk, Gdynię, Wrocław, Poznań, Szczecin, Toruń, Katowice, Opole, Lublin, Olsztyn. Bardzo mało studentów wybierało wówczas Bydgoszcz, Kielce, Rzeszów, Białystok, uznając je jako mniej atrakcyjne od Łodzi. Uważne porównanie tej opinii z wynikami innych badań, również prowadzonych w tamtym czasie, skłania do refleksji.

Mieszkańcy 15 wybranych miast Polski poproszono o ułożenie listy tych miast według ich atrakcyjności. **Łódź na tej liście znalazła się na 8 miejscu.** Uznano wówczas, że pod względem atrakcyjności Łódź wyprzedzają: Warszawę, Kraków, Trójmiasto, Poznań, Wrocław, Katowice, Szczecin. Charakterystyczne, że nie było tu Opola, Lublina, Torunia czy Olsztyna, których atrakcyjność przedkładali nad Łódź ankietowani studenci. Wobec tego poproszono studentów o sporządzenie takiej samej listy. I powtórzyła się sytuacja z poprzedniej ankiety: Łódź powróciła na 13 miejsce, ustępując w opinii studentów pod względem atrakcyjności Opolu, Lublinowi, Toruniowi czy Olsztynowi.

Skąd się bierze taka opinia? Czy rzeczywiście ze znajomości łódzkiej realii?

Aby znaleźć odpowiedź na te pytania sięgniemy jeszcze do dwóch interesu-

przeprowadzono podobne badania na temat atrakcyjności wymienionych wyżej miast, to ich wyniki byłyby podobne. Zaczepiłem je zresztą ze „STATYSTYCZNEGO OPISU KULTURY W PRL”, wydanego w ubieg-

mi rocznie przez statystycznego mieszkańca, Warszawa ze 150 egzemplarzami i Poznań — ze 156.

Gorzej natomiast wygląda czytelnictwo czasopism, gdyż dane z 1973 roku plasują Łódź na ostatnim miejscu.

jąca, za niewłaściwą, ale nie można nie dostrzegać dokonujących się w niej przemian. To też jest element rzeczywistości, który trzeba brać pod uwagę przy analizowaniu życia kulturalnego miasta.

dań? Wynika z nich to, że w tym czasie nie zaszły prawie żadne zmiany w budżecie czasu włókiarki. Zarówno w jednym jak i drugim wypadku na pracę w domu, wychowanie dzieci poświęcała ona około 8 godzin dziennie. Dojazd do pracy nadal utrzymuje się w granicach godziny, podobnie zakupy. Na sen i odpoczynek włókiarce pozostaje mniej niż 7 godzin w ciągu doby. Jest to bardzo mało. Jest to mniej niż powinno być.

Nie darmo mówi się, że współczesna kobieta pracuje na dwóch etatach. W przypadku włókiarki nawet wymiar godzin pracy zawodowej i domowej jest niemal identyczny. A kobiety pracujące w innych zawodach? Czy tu sytuacja nie jest podobna, jeśli nie analogiczna?

Ciągłe jeszcze mity i stereotypy przesłaniają nam rzeczywistość. Jest to niewątpliwie bardzo wygodne, ale też niebezpieczne. Można się któregoś dnia obudzić w zupełnie innym świecie niż ten, który się sobie wyobraża. Stać się tak musi nieuchronnie, jeśli kompleksową analizę rzeczywistości będzie się zastępowało wygodnymi stereotypami. A tak niestety dzieje się często w przypadku rozważań o kulturze miasta. Kulturę traktuje się jako rzecz wyizolowaną, odrębną, trudną i niewdzięczną. Nie usiłuje się szukać jej związków z innymi dziedzinami życia.

Dokonujące się w mieście przemiany powoli i z uporem docierają do społecznej świadomości, powoli i z uporem podważają utarte wyobrażenia. Ludzie wiedzą, że w Łodzi buduje się wiele, choć jeszcze niedostatecznie wobec stale rosnących potrzeb. W programach partyjnego działania zakłada się dalsze przyspieszenie przemian gospodarczych i społecznych. Jakże to jednak rodzi i powinno rodzić konsekwencje? Jaki to ma wpływ na przeobrażenia w kulturalnych potrzebach społeczeństwa miasta? Działalność kulturalną — zarówno upowszechnienie, jak i tworzenie nowych wartości — traktuje się dość instytucjonalnie. Nie szuka się nowych powiązań, uwarunkowań. Zbyt opieszale stawia się nowe zadania, będące odpo-

# MITY i RZECZYWISTOŚĆ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

łym roku przez Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, a więc z zespołu danych, które wydawca uznał za aktualne i nadal jeszcze obowiązujące.

Ten pogląd potwierdza również i to, że uważa analiza aktualnych danych statystycznych podważa wiele obiego-

W Łodzi bowiem w 1973 roku statystyczny mieszkaniec kupił 23 egzemplarze czasopism, we Wrocławiu — 28, w Poznaniu — 31, w Krakowie — 33, w Warszawie — 35.

Ale też percepcji współczesnej kultury się można traktować zbyt jednostronnie i tradycyjnie. Warto bowiem przy tym pamiętać, że w Łodzi na tysiąc mieszkańców przypada 250 abonentów telewizji, to jest tylko o 3 abonentów mniej niż w Warszawie, podczas gdy w Poznaniu na tysiąc mieszkańców w 1973 roku było 237 abonentów, we Wrocławiu — 224, a w Krakowie — 204.

Kiedy przed 15 laty socjologowie pytali młodych robotników (między innymi również z Łodzi) o sposób spędzania wolnego czasu, odpowiadający na pierwszym miejscu stawiali kino (47,2 proc. odpowiedzi), na drugim — widowiska sportowe (22,6) na trzecim — czytanie książek (11,2), a dopiero później słuchanie radia, czytanie gazet i czasopism. Kino i sport były najpopularniejsze również wśród ankietowanych robotników w wieku do 39 lat, dopiero u robotników po 40 latach na pierwszym miejscu zjawiało się słuchanie radia. Teatr w zainteresowaniach robotników stanowił wtedy ułamek. Najwięcej teatrem interesowali się robotnicy w wieku od 30 do 40 lat (6,6 proc. odpowiadających).

Dziś na pierwszym miejscu królowałaby chyba telewizja. Według najnowszych badań wyprzedza ona znacznie — o kilka długości — popularność prasy i radia. Ale też dziś inna jest już społeczna struktura wieku miast, a w tym i Łodzi. W 1958 roku wśród wszystkich pracujących, 3,8 proc. stanowili ludzie z wyższym wykształceniem, 4,9 proc. — ze średnim zawodowym, 4,4 — ze średnim ogólnokształcącym, 3,5 proc. — z zasadniczym zawodowym i 83,4 proc. — z podstawowym i niepełnym podstawowym. W 1973 roku struktura wykształcenia pracujących w Łodzi była już inna: wyższe wykształcenie posiadało 7 proc. pracujących, średnie zawodowe — 14,5 proc., średnie ogólnokształcące — 6,7 proc., zasadnicze zawodowe — 13,7 proc. a podstawowe 58,1 proc. Można tę strukturę wykształcenia pracujących w Łodzi uznać za niewystarczają-

cąca, za niewłaściwą, ale nie można nie dostrzegać dokonujących się w niej przemian. To też jest element rzeczywistości, który trzeba brać pod uwagę przy analizowaniu życia kulturalnego miasta.

Zaświadczeniem sprawą jest to, że my sami w Łodzi, uznajemy nasze miasto za mało teatralne. Mamy wiele pretencji pod adresem zespołów poszczególnych teatrów, czasem bardzo słusznych, ale wartość i pozycję łódzkiego środowiska teatralnego potrafimy ocenić dopiero przez pryzmat ocen zewnętrznych. Udział w „Panoramie Trzydziestolecia” w Warszawie, festiwalu teatralnym kończą się dla zespołów łódzkich sukcesami, choć na miejscu potrafimy udawać, że nic się nie dzieje.

A jak na to „nieteatralne miasto”, którego tradycje teatralne sięgają daleko w przeszłość, patrzy widz?

Sięgnijmy znów do statystyki. W 1973 roku w Warszawie na tysiąc mieszkańców przypadało 2212 widzów w teatrach i słuchaczy na koncertach, w Łodzi — 1861, we Wrocławiu — 1659, w Poznaniu — 1432, w Krakowie — 1318.

## GDZIE SZUKAĆ REZERW?

O Łodzi ciągle jeszcze mówi się: miasto pracujących kobiet. To niewątpliwie prawda, ale często procent pracujących kobiet określa się na poziomie 60. I to już dziś — w wyniku przemian, jakie dokonują się w strukturze społecznej miasta — przestało być prawdą. W Łodzi — według „Rocznika Statystycznego 1974” — na 415,2 tys. pracujących w gospodarce społecznej jest 206,6 tys. kobiet, co stanowi 49,7 proc., a więc już nawet nie połowa. W przemyśle natomiast kobiety stanowią 51,7 proc. wszystkich zatrudnionych. Przeobrażenia dokonujące się w strukturze zatrudnienia Łodzi nie podważają jej pozycji. Jest to rzeczywistość miasto pracujących kobiet, ale też samo powtarzanie takiej opinii w niczym nie zmienia ani sytuacji kobiet, ani nie ma wpływu na niektóre dziedziny życia. Z tego faktu trzeba po prostu wyciągnąć właściwe wnioski.

Dysponując dwoma wynikami badania budżetu czasu włókiarki, a włókiarek w Łodzi jest najwięcej. Dokonano je na przestrzeni 6 lat. Ostatnie w 1971 roku. Co wynika z tych ba-



Fot. G. Puciato

jących ankiet. Jedną z nich odpowiada na pytanie o prowincjonalny charakter 12 polskich miast: Częstochowy, Katowic, Krakowa, Lublina, Łodzi, Opola, Piotrkowa Trybunalskiego, Poznania, Radomia, Torunia, Wrocławia i Zakopanego. Wśród odpowiadających studentów 74,9 proc. nie przypisywało Łodzi cech prowincjonalnych, Krakowowi — 89,6, Wrocławowi — 87,8, Poznaniu — 84,1. Zaledwie 6,8 proc. odpowiadających uznało Łódź za miasto prowincjonalne, 13,9 proc. odpowiedzi było wymijających, a tylko 4,4 proc. odpowiadających nie miało sprzecznego zdania. Za najbardziej prowincjonalne miasto uznano wówczas... Piotrków Trybunalski.

Jak pamiętamy, jednak w poprzednio omawianych ankietach studenci nad atrakcyjność Łodzi wyżej stawiali atrakcyjność Lublina, Opola, Torunia. Byłoby zatem interesujące zobaczyć, co studenci sądzą o prowincjonalności tych miast. Logiczne wydawałoby się, że powinni uznać je za mniej prowincjonalne od Łodzi. Tymczasem opinia studentów jest inna.

Brak cech prowincjonalnych w życiu Lublina dostrzegają tylko 37,6 proc. odpowiadających, Opola — 30,7 proc., a Torunia — 43,9 proc. Skąd taka rozbieżność?

Autorzy ankiety też zadali sobie i innym to pytanie, interesując się znajomością tych miast przez odpowiadających. I wtedy okazało się, że w Łodzi było 53,8 proc. tych, którzy się wypowiedzieli, w Lublinie — 39 proc., Opolu — 32,3, a w Toruniu — 50,1 proc. Tylko słyszało o Łodzi 35,6 proc., a bardzo mało o niej wie 10,6 proc. odpowiadających.

Ankiety te przeprowadzono przed kilkunastu laty można byłoby je zakwestionować. Wiele przez ten czas w Łodzi zmieniło się. Nie jestem jednak pewien, czy zmieniły się też wyobrażenia o Łodzi, czy w opinii społecznej zdołały się już ukształtować nowe stereotypy, czy też nadal żyją stare. Podejrzewam jednak, że gdyby i dziś

wych pojęć, wiele ciągle kursujących stereotypów.

## KONFRONTACJE

Smiem twierdzić, że uparte powtarzanie stereotypów, utrwalanie mitów na temat warunków życia kulturalnego Łodzi jest działaniem wygodnym, bo usprawiedliwiającym inercję, bezradność i wygodnictwo niektórych działaczy kultury i niektórych środowisk twórczych. Kurczone trzymanie się mitów bierze się najczęściej z dość dokładnego wyizolowania z życia, z braku rzeczowej analizy rzeczywistości. Doskonale orientując się w niedostatkach bazy kulturalnej w Łodzi i wiem, że postęp w tej dziedzinie ciągle jest jeszcze niedostateczny. Ale chciałbym też zwrócić uwagę na inne „rezerwy”, skonfrontować mity z rzeczywistością, aby ukazać szkodliwość jednostronnego patrzenia na sprawy kultury w Łodzi.

Mówi się na przykład dość często, że łodzianie są biernymi odbiorcami kultury, że trudno ich czymkolwiek zainteresować. Aktualne dane statystyczne przeczą jednakże takiej opinii. Oto bowiem pod względem ilości woluminów i czytelników przypadających na tysiąc mieszkańców Łódź znajduje się na pierwszym miejscu wśród pięciu dużych miast. W Łodzi na tysiąc mieszkańców przypada 1834 woluminy i 223 czytelników, we Wrocławiu — 211 czytelników, Poznaniu — 198, Warszawie — 182, Krakowie — 154. Natomiast pod względem ilości woluminów przypadających na tysiąc mieszkańców wyprzedza Łódź tylko Warszawa z 1930 woluminami.

Nie jest również tak źle z czytelnictwem gazet, jak to się niekiedy wydaje. Jeśli by mierzyć je ilością gazet kupowanych w roku przez statystycznego łodzianina to Łódź dorównuje Krakowowi, gdzie również kupuje się w ciągu roku 130 egzemplarzy. Pod tym względem wyprzedza nas Wrocław ze 143 egzemplarzami kupowanymi



Fot. L. Jancza

wiedzia na rosnące potrzeby, bo najczęściej zarówno działacze kultury, jak i środowiska twórcze potrzeb tych nie dostrzegają, a jeśli nawet — to w sposób ograniczony.

Stajemy na przykład wobec faktu rosnącego czasu wolnego człowieka pracy. Ale stajemy częstokroć bezradni, zgłaszając zestaw propozycji niezwykle ubogi. A przecież czas wolny będzie rość nieustannie. Co wobec tego robić? I kto ma na to pytanie odpowiedzieć?

Od lat mówi się o konieczności poprawy stanu usług w mieście. Ten postulat będzie musiał być nieuchronnie spełniony. A wtedy na przykład pracująca kobieta znajdzie się w sytuacji, kiedy jej budżet czasu radykalnie się zmieni. Będzie miała nie tylko więcej godzin na spanie, ale znajdzie też czas na kulturę i rozrywkę. Co jej wtedy zaproponujemy?

Ciągłe odnośne twierdzenie, że poszczególne środowiska twórcze bardziej są zapatrzone w swoje sprawy wewnętrzne niż skłonne są nieustannie analizować zmieniającą się rzeczywistość. Uleganie stereotypom o „niekulturalnym mieście” może i wystarczyło lat temu kilka, kiedy w Łodzi działało się bardzo mało. Możemy być oczywiście niezadowoleni jeszcze z tempa dokonujących się przemian, możemy jeszcze nie widzieć zbyt ostro wyników tych przemian, ale — sądzę — że nie wolno pozostawać obojętnym wobec nich. Nie wolno również w życiu kulturalnym myśleć tylko o dniu dzisiejszym, nie szukając rozwiązań, które wyobraźnia sięgałaby jutro.

Zdaję sobie sprawę, że życie kulturalne miasta jest znacznie bardziej skomplikowane niż tu próbowałem przedstawić. Jestem świadom wielu innych hamulców i barier, ale uważam, że nie wolno już dziś bezkrytycznie ulegać stereotypom i mitom. Należy poddać je bezkompromisowej rewizji, a będzie to „rewizjonizm”, o który nikt do nas nie będzie miał pretensji.



Fot. Włodzimierz Parys

„Niedzielny” archeolog ma tę przewagę nad specjalistami, że popuściwszy wodze fantazji może zadawać kłopotliwe pytania. Jest rzeczą naturalną, że wykorzystując tę przewagę do maksimum, aby wstrząsnąć rzekomo „świętą” podstawą, na której wspiera się kunsztowna budowla odkryć archeologicznych. Badacze amatorzy są żenująco pracowici. Są oni wytrwałymi zbieraczami, czytelnikami i podróżnikami, ponieważ pragną odnaleźć najbardziej przekonujące dowody słuszności swych teorii.

Instytut Badań Elektroakustycznych w Marsylii przeniósł się wiosną 1964 roku do nowego budynku. W kilka dni po przeprowadzeniu niektórych z współpracowników profesora Valdimira Gavreau zaczęli się uskarżać na bóle głowy, nudności i swędzenie. Niektórzy z nich cierpieli tak bardzo, że drżeli jak liście osiki. Było prawdopodobne, że w instytucie zajmującym się badaniem problemów elektroakustyki, powodem choroby personelu było jakieś nie kontrolowane promieniowanie wydostające się z laboratorium. Używając superczułych aparatów pomiarowych naukowcy zbadali cały budynek metr po metrze, starając się odkryć przyczynę niedomagań swoich kolegów. I przyczyna została znaleziona. Jednakowoż nie było nią promieniowanie nie kontrolowanych częstotliwości elektrycznych. Przyczyną były fale niskiej częstotliwości wydostające się z otworu wentylatora i poddające cały budynek wibracjom poddźwiękowym.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jak to wielokrotnie już zdarzało się w nauce, profesor Gavreau przez dwadzieścia lat specjalizował się w badaniu fal dźwiękowych.

Po tym zdarzeniu profesor doszedł do wniosku, że powinno być możliwe

stotliwości 37 herców. Próba pełnej mocy tego urządzenia nie mogła być przeprowadzona w Marsylii, gdyż w jej wyniku zawaliby się budynki w promieniu kilku mil. Obecnie buduje się następną „trąbę śmierci” o długości

9,25 funta (ponad 4,2 kg). Jeśli przeprowadzimy odpowiednie obliczenia oparte na proporcjonalnych wielkościach narzędzi używanych przez zwykłych ludzi, to stwierdzimy, że istoty posługujące się tym niewygodnym

by doskonale wykonane „kolanka” zakrzywiające się pod kątem prostym. Jak jednak można wytłumaczyć fakt, że tylko górne połówki rur zostały odnalezione? Można się przecież obyć bez górnych

drzewa przy pomocy C-14 wykazałoby, że rosło ono w bardzo odległych czasach.

Wątpię w ścisłość i niezawodność tej metody. Pomiaru czynione do tej pory przy jej pomocy wychodzą z założenia, że zawartość izotopu C-14 w atmosferze jest i była jednokrotna.

Kto jednak wie, czy jest to prawda? W mojej książce „Chariots of the Gods” (Rydwany „bogów?”) omawiałem starożytne teksty mówiące o tym, że „bogowie” umieli wytwarzać potwornie wysokie temperatury w rodzaju eksplozji nuklearnych i że znali oni broń wytwarzającą promieniowanie.

Gdziekolwiek i kiedykolwiek — w Hiroszynie, na atolach Bikini, w Związku Radzieckim, na Saharze, w Chinach — wyzwolone zostaną substancje radioaktywne, ilość izotopu C-14 w atmosferze musi ulec zmianie. Stąd rośliny, zwierzęta, ludzie mieli i mają większą zawartość C-14 w swoich komórkach niż wynosi jego rzekomo standardowa zawartość w atmosferze. Jeśli zaakceptuje się powyższe wywody, to musi się jednocześnie zakwestionować wszystkie pomiary wieku wykopalisk dokonane przy wykorzystaniu radioaktywnego izotopu węgla.

Archeologia jako dyscyplina naukowa istnieje dopiero od 200 lat. Jej przedstawiciele skrupulatnie zbierają monety, tabliczki gliniane, fragmenty narzędzi, skorupy naczyń, figurynki, rysunki, kości i wszystko to, co wyrzuci z ziemi łopata. Znaleziska układają się w system, który posiada względna ważność na około 3500 lat wstecz. Wszystko, co znajduje się dalej w czasie, pozostaje ukryte poza zasłoną zagadek i przypuszczeń.

Na zboczach gór w Cajamarquilla, na wschód od stolicy Peru, Limy, jest mnóstwo starych ruin. Wzdłuż każdej drogi w tym rejonie znajduje się w ziemi setki dołów podobnych do jednoosobowych schronów przeciwlotniczych na ulicach Hanoi. Doły te mają średnicę około 58 cm a głębokość 168 cm. Udało mi się nalieźć 209 dołów (!) wzdłuż jednej z ulic. Nie mogę twierdzić, że doły były kiedyś wykopane w celu ochrony przed atakami z powietrza, ponieważ przedawsze znanym faktem to, iż nie było nalołów lotniczych przed wiekiem dwudziestym!

Jak wyjaśniali obecni mieszkańcy tych okolic przeznaczenie dołów? Powiedzieli mi, że były to kiedyś zbiorniki na ziarno.

Nie jest to przekonujące wyjaśnienie, jeśli się zważy, że doły dopasowane są do ludzkiej sylwetki. Można je oczywiście było wypełnić ziarnem, lecz z pewnością zaczęłyby ono wkrótce kielkować lub też zepsułyby się na skutek wilgoci i temperatury. A w jaki

# „Niedzielny” ARCHEOLOG ZADAJE PYTANIA

ERICH von DÄNIKEN

75 stóp (23 metry). Oczekuje się, że będzie ona wytwarzać fale o śmiertelności częstotliwości równej 3,5 herca. Niezależnie od strasznych następstw, jakie „trąba śmierci” może mieć dla nas w przyszłości, przypomina nam ona o pewnym wydarzeniu w dalekiej przeszłości.

Po tym jak naród wybrany suchą nogą przeszedł rzekę Jordan i oblegił miasto Jerycho otoczone grubymi na ponad 6 metrów murami obronnymi, kapłani otrzymali zawiłe instrukcje nakazujące im maszerowanie wokół miasta i dęcie w „trąby”. Wydarzenie to opisane jest w Księdze Jozuego (6 : 20):

„Tedy krzyczał lud, gdy zatrąbiono w trąby, albowiem gdy usłyszał lud głos trąb, krzyczał i lud wielkim głosem, i upadł mur na miejscu swem, i wszedł lud do miasta, każdy przeciw

sprzętem musiały mieć około 12 stóp wzrostu (3,6 metra).

Poza odkopanymi narzędziami są jeszcze przynajmniej trzy zaakceptowane przez naukę znaleziska wskazujące na istnienie olbrzymów w przeszłości. Są to: (1) olbrzym z Jawy, (2) olbrzym z południowych Chin i (3) olbrzym z Południowej Afryki.

Jakiej rasy były te osobniki? Czy były to pojedyncze egzemplarze? Czy były to źle zaprogramowane produkty mutacji?

Czy olbrzymi nie byli bezpośrednimi potomkami olbrzymich kosmonautów z innego świata? Czy były to szczególnie inteligentne istoty o zaawansowanej wiedzy technicznej, które rozwinęły się na skutek zaprogramowania kodu genetycznego?

Wykopiska nie dają jednoznacznych odpowiedzi na te pytania lecz dokumenty — a powinniśmy brać stare źródła dosłownie — wyraźnie potwierdzają istnienie olbrzymów. Mojżesz mówi nam (Genesis 6 : 4):

„A byli olbrzymowie na ziemi w one dni; nawet i potem, gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, rodzili im syny. A cię są mocarze, którzy od wieków byli mężowie sławni.”

Piąta Księga Mojżeszowa (Deuteronomium 3 : 11) daje nam pojęcie o wielkości owych olbrzymów:

„Bo tylko sam Og, król Basański pozostał był z olbrzymów: oto jego łokież żelazne, a zaż jeszcze nie jest w Rabbat, synów Ammonowych? dziwieć łokieł długości jego, a cztery łokiecie szerokości jego, a łokieć męski!”

(Żydowski łokieć miał około 52 centymetry długości!)

Tak poważny uczonec jak Denis Sauret, dyrektor Centre Internationale d'Etudes Francaises w Nicei zdecydowanie twierdził, że kiedyś istniała rasa olbrzymów. Wielka ilość ogromnych budowli architektonicznych oraz artystycznie obrobionych głazów, które dotychczas podziwiamy za ich ogrom, może być przekonująco objaśniona jedynie wtedy, gdy przyjmie się, że ich prymitywni budowniczości byli olbrzymami lub też istotami rozporządzającymi nieznaną nam techniką.

Podczas mojej ostatniej podróży do Peru, w 1968 roku, odwiedziłem wraz z przyjacielem Hansem Neunerem budowle megalityczne w Saesayahuman. Skalny labirynt budowli wyglądał jak gdyby był wzniesiony przy użyciu metod będących ostatnim słowem w dziedzinie techniki. Każdy, kto spędził kilka dni na tym płaskowyżu w otoczeniu kamiennych gigantów, jaskiń i skalnych potworności, będzie miał opory z zaakceptowaniem wyjaśnienia, że wszystko to stworzyły dawno temu ręce ludzi wyposażone w drewniane kliny i niezdarne kamienne młotki.

Oto jeden z przykładów: szescian o wymiarach 212cm x 35cm x 80cm został wycięty z dużego pojedynczego bloku granitowego. Robota — pierwsza klasa! Nie ma mowy o żadnej fuszerce czy choćby drobnej niedokładności. Nawet jeśli jesteśmy gotowi przyjąć, że niezwykle zdolni kamieniarze po wielu latach pracy zdolali wykutać cztery boczne szczytyny wokół tej ogromnej granitowej belki, to i tak pozostaje zagadką, w jaki sposób, została odcięta tylna jej ścianka. W owych czasach kamieniarze nie dysponowali odpowiednim do takiej pracy sprzętem, nie znali też chemicznego sposobu oddzielenia belki od reszty skały przez trawienie kwasami.

Czy rzeczywiście nie znali? Podobnie mają się sprawy z Tiahuanaco na Płaskowyżu Boliwijskim. Podczas mojej drugiej wizyty w tym miejscu wybrałem, jako cel mego szczególnego zainteresowania, jedną spośród wielu niezwykłości: rurociąg. Byłem pełen podziwu dla technicznej i mechanicznej doskonałości tego dzieła, które przypisuję się prymitywnym plemionom: rury miały kształty zupełnie nowoczesne, były polerowane zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz i miały dokładnie dopasowane końce umożliwiające łączenie równie łatwe jak montaż niektórych nowoczesnych zabawek sprzedawanych w cześciach. Zdumienie moje osiągnęło jednak szczyt, gdy się przekonałem, że to, co zostało sklasyfikowane jako rurociąg, składało się z podwójnych rur wykonanych w jednym kawałku skały. Na dodatek, owe podwójne rury posiada-

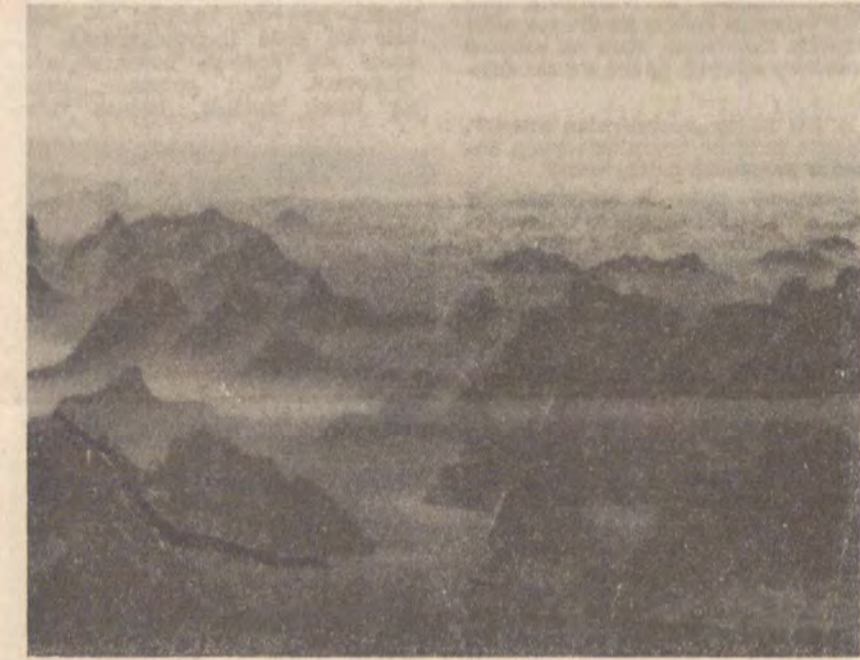
ły doskonale wykonane „kolanka” zakrzywiające się pod kątem prostym.

Czy te kamienne rury w ogóle służyły jako wodociąg?

Istoty, które mogły je wykonać, musiały dysponować wyjątkową techniką. Reprezentując tak wysoki poziom inteligencji nie byłyby one na tyle głupie, aby budować wodociąg o podwójnych rurach, gdy można było po prostu przy mniejszym nakładzie pracy wywiercić na tyle większy otwór, aby mogła przepływać przez niego podwójna ilość wody. Ponadto, istoty inteligentne nie używałyby „kolanek” skracających pod kątem prostym wiedząc, że w rogach będą zbierać się zanieczyszczenia. No i naturalnie, gdyby rury były rzeczywiście używane dla dostarczania wody, to musiałyby mieć przede wszystkim dolne połówki.

Jeśli przypuścimy, że to nieznanymi astronautami wyładowali na Płaskowyżu Boliwijskim i zbudowali tam swoją bazę, to czy nie możemy się domyślać, że rzekomy wodociąg stanowił w rzeczywistości ochronę kabli energetycznych biegnących między poszczególnymi budynkami całej budowli?

Archeologowie i antropologowie starają się określić wiek każdego znaleziska. Jak dotąd, najdoskonalszą metodą naukową pozwalającą tego dokonać jest użycie radioaktywnego izotopu węgla, C-14. Używając tej metody uczeni wychodzą z założenia, że ilość izotopu w atmosferze jest stała. Z atmosfery izotop jest pochłaniany przez rośliny — jego ilość w liściach,



Fot. Archiwum

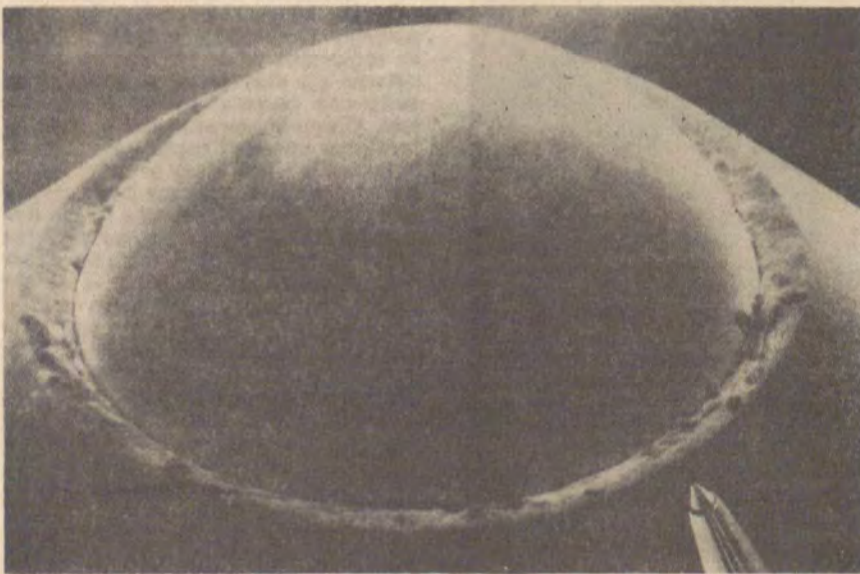
eksperymentalne wywołanie fal o właściwościach identycznych z właściwościami fal produkowanych przez wentylator. Wraz ze swoimi pracownikami profesor Gavreau zbudował w tym celu pierwsze na świecie działo dźwiękowe. Do kraty metalowej przyspawano w szachownię 61 rur. Następnie urządzenie przedmuchiwano sprężonym powietrzem aż do momentu uzyskania dźwięku o częstotliwości 196 herców. Działanie dźwięków tej częstotliwości było niszcycielskie: w ścianach zupełnie nowego budynku potworzyły się pęknięcia, żołądki i jęłta pracowników laboratorium zaczęły w bolesny sposób wibrować. Aparat trzeba było natychmiast wyłączyć.

Nie ma zgody wśród ludzi kompetentnych odnośnie tego czy kiedyś istniała rasa olbrzymów, czy też nie. Zanotowano jednakże kilka przypadków odkrycia narzędzi tak niezwykłych rozmiarów, że niepodobniestwem jest, aby posługiwali się nimi ludzie normalnego wzrostu.

Niedaleko Sasnyh, cztery mile od Safita w Syrii, archeologowie wykopali narzędzia krzemienne ważące prawie 8,5 funta (ponad 3,8 kg). Podobne narzędzia krzemienne, znalezione w Ain Fritissa we wschodnim Maroku, miały wymiary mniej więcej 30 cm długości i 20 cm szerokości, a ważyły

miejsca, gdzie stał, i wzięli miasto.” Ani pełna moc kapłańskich piersi, ani też nawet fanfara wielu tysięcy trąb, nie mogłyby skruszyć sześciometrowego muru. Wiemy jednak obecnie, że fale dźwiękowe o małych częstotliwościach byłyby w stanie dzieła tego dokonać.

Niedaleko Sasnyh, cztery mile od Safita w Syrii, archeologowie wykopali narzędzia krzemienne ważące prawie 8,5 funta (ponad 3,8 kg). Podobne narzędzia krzemienne, znalezione w Ain Fritissa we wschodnim Maroku, miały wymiary mniej więcej 30 cm długości i 20 cm szerokości, a ważyły



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

korzeniach, trawach jest również stała. Zwierzęta i ludzie odżywiają się roślinami (choćby pośrednio) i stąd ich organizmy również zawierają C-14 w w podobnych proporcjach. Substancje radioaktywne mają określony czas rozpadu. Okres rozpadu C-14 zaczyna się z chwilą śmierci człowieka lub zwierzęcia, a jeśli chodzi o rośliny — w momencie zęcia lub spalania. Okres połowicznego rozpadu C-14 wynosi 5600 lat. Znaczący to, że w 5600 lat po śmierci organizmu wykryć w nim można jedynie połowę pierwotnej ilości C-14, po 11200 latach, tylko ćwierć itd. Znając ilość C-14 w atmosferze, możemy, po laboratoryjnym obliczeniu jego zawartości w odkopanych szczątkach materii organicznej, określić wiek wykopaliska.

Jeśli ściąć i spalić trawę oraz krzewy rosnące wzdłuż autostrady, to ich wiek, określony na podstawie zawartości C-14 w popiele, będzie o tysiące lat różnił się od prawdziwej długości życia tych roślin. Dlaczego? Ponieważ dzień po dniu rośliny wchłaniały duże ilości węgla zawartego w spalanych pochodzących z materiału organicznego, który przestał absorbować C-14 miliony lat temu. Drzewo ścięte w kręgu przemysłowym może mieć lat pięćdziesiąt, ale badanie popiołu z tego

sposób wydosławano ziarno z tak wąskich zbiorników?

W braku ziarna wypełniliśmy jeden ze zbiorników piaskiem, po czym staraliśmy się go opróżnić przy użyciu rąk i łopat. Opróżnienie, jednej trzeciej części nie wymagało specjalnego wysiłku, lecz po opróżnieniu połowy praca stała się wyczerpująca. Opróżnienie ostatniej, dolnej części zbiornika stało się istną torturą. Po przeprowadzeniu całego dnia, po wypróbowaniu wszelkich możliwych sposobów, zdołaliśmy prawie opróżnić zbiornik: zostało jedynie 6 do 8 cali piasku, którego w żaden sposób nie mogliśmy wydobyć.

Teraz, kiedy tylko słyszę wyjaśnienie, że tajemnicze doły są zbiornikami na zboże, to zawsze zastanawiam się, dlaczego ludzie z Cajamarquilla zadawali sobie tyle trudu kopiąc tak wąskie doły.

Dlaczego nie przyszło im na myśl kopać większe, rodzinne zbiorniki?

C.d.n.

Opracował: B. KRAKOWIAN



**EDWARD  
KOPCZYŃSKI**

Edward Kopczyński urodził się 25 października 1921 roku w Łodzi. Tu też ukończył w r. 1950 Wydział Stomatologiczny Akademii Medycznej i od tego czasu nieprzerwanie, jako lekarz stomatolog, pracuje w wojewódzkiej służbie zdrowia.

Debiutował opowiadaniem „Anna”, które w roku 1964 uzyskało drugą nagrodę na konkursie literackim Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia i drukowane było w „Nowym Medyku”. W roku 1966 opublikował swoje pierwsze opowiadania o tematyce myśliwskiej na łamach „Lowcy Polskiego” — czasopisma, które w ubiegłym roku obchodziło 75-lecie swej działalności. Są to opowiadania: „Z pamiętnika referenta Dreszcza” i „Emeryt”; zapoczątkowały one dorobek literacki Kopczyńskiego poświęcony łowiectwu i weszły do tomu utworów myśliwskich „Darz Bór”, redagowanego przez J. Szczepkowskiego („Sport i Turystyka” — 1967).

W 1965 r. Kopczyński debiutuje jako satyryk felietonami na łamach „Szpilek” i „Karuzeli”, a następnie nawiązuje współpracę z Polskim Radiem w Łodzi (jego teksty satyryczne emitowane były w ogólnopolskim programie „Z dywanikiem”, prowadzonym przez red. M. Jeżewskiego) oraz z Polskim Radiem w Krakowie, które w konkursie literackim na utwór satyryczny nagrodziło a potem wykonało humoreskę „Powrót Odysusa”. W 1967 r. ukazało się opowiadanie „Stary bednarz”, zamieszczone w tomie „44 opowiadania prawdziwe” („Iskry”, wybór K. Dziewanowskiego), prezentującym plan konkursu literackiego tygodnika „Świat” z roku 1964.

Rok 1966 przynosi pierwszą książkę Kopczyńskiego, jego debiut powieściowy „Trudne edukacje”.

Był to start udany, o którym Witold Billip pisał w „Nowych Książkach”: „Trudne edukacje” to książka rozumna i uczciwa, a kultury literackiej i ściśle warsztatowych umiejętności pisarskich mógłby temu dentyście pozazdrościć niejedyn zawodowiec i dalej: „Miarą talentu, taktu i kultury literackiej autora może być przy tym fakt, że owe intymne własne przeżycia i przemyslenia młodego gimnazjalisty z przedwojennej rodziny robotniczej zyskują walor głęboko pojętej typowości. I to nie tylko w literackim znaczeniu tego słowa. „Trudne edukacje” to także bardzo interesujący dokument psychosocjologiczny, przewyższający niejedno mało inteligentny pamiętnik nie tylko zakresem penetracji, ale także wręcz stopniem wiarygodności.” Zdziśław Umliński w miesięczniku „Życie i Myśl” pisał z kolei: „Edward Kopczyński, wydaje się, potrafił dyskretnie ukazać złożony świat młodego człowieka Napisał bardzo dobrą książkę o chłopcu, ukazując równocześnie spory obszar robotniczego i drobnomieszczańskiego środowiska, zawierający cały polimorfizm prawdy społecznej, które w końcu stało się świętym tłem dla zrealizowania bardziej ambitnego planu”. Potwierdzeniem tych opinii jest fakt, że „Trudne edukacje” podaje również „Proza i poezja 1966” jako wyróżniający się debiut powieściowy, a resort oświaty zalecił książkę do bibliotek szkolnych, dla młodzieży klas licealnych.

W r. 1967 ukazała się kolejna pozycja Kopczyńskiego „Drogi łączące się w lesie”, wyróżniona w konkursie, zorganizowanym przez Wydział Kultury WRN w Łodzi. Chronologicznie biorąc może to być w pewnym sensie dalszy ciąg biografii Michała z „Trud-

nych edukacji”. Dojrzwienie Pawła, bohatera drugiej książki, krystalizacja jego poglądów, udział w partyzancie — dokonują się jakby same, bez udziału jego woli, niemniej ostatnie karty powieści, oparte na wypadkach historycznych (obrona pierwszej konspiracyjnej sesji WRN w Ojrzeńcu) i ujęte emocjonalnie, sprawiają silne wrażenie.

Następne trzy powieści, adresowane do młodzieży, dotyczą tematyki łowieckiej: „Kłusownik chodzący nocą” (1968), „Ślady na śniegu” (1969), „Egzamin łowiecki” (1970). Połączone osobami bohaterów, wznwione zostały w 1971 r. w jednym tomie: „Przygody łowieckie”. Bogate i piękne tradycje literatury myśliwskiej kojarzą się u nas z Adolfem Dygasińskim, Józefem Weissenhoffem, Julianem Ejsmondem. Ale to już klasyka, nie przeznaczone zresztą w intencjach jej twórców dla młodzieży. Z zakamarków pamięci dobywam w tej chwili książeczkę Or-Ota „Mali myśliwi”. Obecnie tematykę przyrodniczą podejmują m. in. tacy pisarze jak J. Domaniewski, K. Głazycki, T. Goździkiewicz, J. Grabowski, T. Karpowicz (pseud. W. Wilklisz). Natomiast Kopczyński proponuje młodzieży jeszcze coś innego — z zamilowaniem, z zapałem, z wyraźnym rozmakowaniem w temacie udziela młodym odbiorcy pięknej lekcji tajemnic lasu, tej — użyjmy sformułowania autora — umiejętności „słuchania lasu” w różnych porach roku. Uroda boru, jezior i rzek, pól i łąk, polowania na wilki i dziki, trwania na posterunku „z palcem na cynglu”, owa przygoda myśliwska, zawsze „nowa, niepodobna do żadnej poprzedniej” mają w sobie coś z rodzimej egzotyki. Warto dodać, że w tej trylogii myśliwskiej Kopczyński pokazuje piękno Ziemi Łódzkiej, podpowiada młodzieży, że szlachetna przygoda znaleźć można dużo bliżej niż by to się na ogół wydawało. Te trzy powieści również znalazły się wśród lektur zaleconych bibliotekom szkół podstawowych.

W 1970 r. wydany został także zbiór opowiadań łowieckich „Kaczki powracają wiosną”, gromadzący w większości teksty nagrodzone i wyróżnione w konkursach „Lowcy Polskiego” („Tryptyk łowiecki”: „Żyrafa”, „Dziwak”, „Przeżucie” — to pierwsza nagroda w konkursie Polskiego Radia w Kielcach w r. 1967), a rysujące kapitalne postaci myśliwych, leśników, amatorów łowiectwa... Na tle przyrody ludzie ci przeżywają rozmaite konflikty, ujawniające różne postawy i słabości.

Inny charakter posiada powieść „Intruz” (1971). Podróż bohatera, lekarza (absolwenta łódzkiej AM), z Warszawy do Łodzi staje się pretekstem do snucia przemyśleń na tematy moral-

ne. Są to pytania o przyczyny klęski życiowej Andrzeja, o źródła godności własnej, o receptę na szczęście i o prawo do szczęścia. Sprawa oddzielną, nurtującą autora, jest też zagadnienie etyki zawodowej lekarza. Strońce poświęcone tej kwestii mimo woli przywodzą na myśl, głośną ongiś, „Cytadela” Cronina. Warto dodać, że za tę powieść Kopczyński otrzymał w 1973 r. nagrodę literacką im. Bova-Zełenskiego, ufundowaną przez Zarząd Główny Związku Zaw. Prac. Służby Zdrowia.

W roku następnym ukazuje się kolejna książka dla młodzieży „Będę orał śnieg”, wznwiona w 1974 r., a traktująca o ratowaniu zagrożonej przez „zimę stulecia” (1969—1970) zwierzyzny przez młodych miłośników przyrody. W 1972 r. Teatr Ziemi Łódzkiej wystawia również komedię Kopczyńskiego „Altruistka”. Do młodego czytelnika autor zwraca się znów w następnej powieści — „Młokos” (1973). Jej akcja pozornie dość prosta, a nawet tocząca się wedle utartego schematu (bohater pozytywny i pelen zalet, odzyskuje po latach ojca i zdobywa wzajemność pięknej dziewczyny), nasycona została szeregiem problemów (wina ojca, emerytura, kłusownictwo, wybór zawodu) Tak jak w poprzednich utworach pisarz dokonuje analizy ludzkich postaw, motywuje konieczność podjęcia pewnych decyzji życiowych, ale nade wszystko roznurwa jeszcze raz czar knieji i polowań, umiejętnie przekazuje wiele informacji o życiu „leśnych ludzi” i otaczających ich natury.

Przedstawione tu pozycje książkowe nie wyczerpują bynajmniej dorobku literackiego Edwarda Kopczyńskiego. Autor współpracuje również z czasopismami. I tak np. w „Kontrastach” zamieścił trzy utwory wyróżnione w białostockim konkursie literackim (1969), w 1970 r. „Perspektywy” wydrukowały opowiadanie z czasów Łodzi okupowanej „Apteka”, wyróżnione przez ZG ZLP. Niektóre utwory przedrukowane zostały w językach obcych, na łamach: „Polen” (1968), „Revista Polacca” (1967), „Hébdomadaire Polonais” (1967), w zagranicznych periodykach łowieckich: „Myśliwek i Rybarska Latina” (1971) i „Myśliwek i Rybarska Kalendár” (1972), a szereg utworów satyrycznych miało przedruk w ZSRR, Czechosłowacji i Rumunii.

W roku bieżącym ukazała się nowa powieść E. Kopczyńskiego — „W pułapce”.

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA



ODGŁOSY czytam stosunkowo niedawno, bo dopiero od trzech lat. Ostatnio zauważyłem pewne korzystne zmiany. Jeśli nawet nie zawsze znajduję coś z tego co mnie specjalnie interesuje, to na pewno poruszane są problemy, wobec których nikt nie może przejść obojętnie. Wydaje mi się na przykład bardzo słuszne i celowe kontynuowanie podjętego cyklu publikacji dotyczących ludzi tzw. marginesu społecznego. Proszę nie posądzać mnie o chęć takiej sensacji i szukanie niedrozwodnych dreszczyków. Rzecz jest poważna. Sądzę, że dotarłoby do tego środowiska, rozsyłanie metod jego działania i zapoznanie z nim społeczeństwa, uświadomił w jakiś sposób opinie publiczną, każe bliżej przyjrzeć się własnemu otoczeniu i być może zapobiegł takim wypadkom, jakie opisał K. Frejdlch i R. Binkowski. Jest to szczególnie ważne, gdyż dotyczy naszej młodzieży o której — moim zdaniem — zbyt mało jednak się pisze. A może warto byłoby zorganizować spotkanie połączone z dyskusją? Wprawdzie jest to częścią marginalną młodzieży, ale przecież jej sprawy nie mogą być dla nas obojętne.

I jeszcze jedno. Nie jestem purystą obyczajowym i językowym. Ale jednak te próbki literackie, którymi obdarzył nas ostatnio p. Bromski, pozostawiają jakiś niesmak. Jeśli już, to wole raczej jego rysunki.

R. NIEMOJEWSKI  
(ŁÓDŹ)

Gram w „Totka”, odkąd tylko powstał, ale dopiero po przeczytaniu „Gorzkiego smaku szczęścia” zdałem sobie sprawę, że nie wszystkie zalezy od mojego szczęścia. Zawsze mi się zdawało, że ten kto odbiera kupon jest pracownikiem „Totalizatora”, a nigdy go nie traktowałem jako współnika. A już do słowy ani mnie ani moim znajomym, którzy też grają, nie przynosiło, żeby się martwić czy kolektor odda mi kupon. Dważem, że z chwilą oddania mu kuponów, nie mnie dalej nie obchodzi. Kilka razy „trafiłem” czwórkę i dostawałem pieniądze. Ale teraz się martwię, czy zdybłem „trafił” piatkę, to też bym dostał. To już większe pieniądze i może bym się dowiedział, że kolektor nie oddał kuponów?

Piszę o tym, bo ogarnia mnie przerażenie i myślę, że takich co mają podobne odczucia po przeczytaniu raportu red. Konrada Turawskiego, jest dużo więcej.

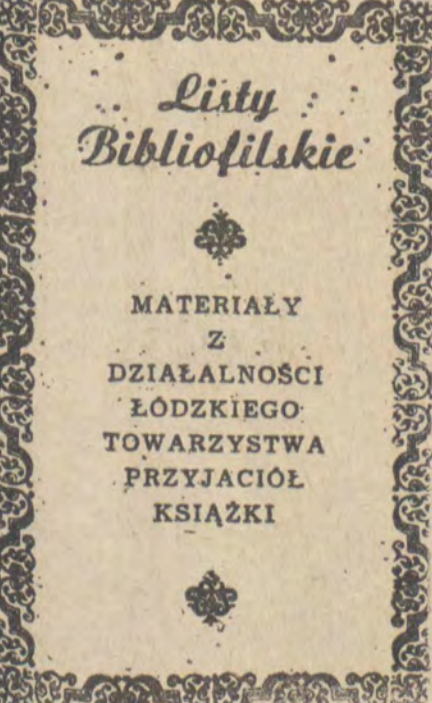
Może też by zapytać, dlaczego w „Totalizator Sportowy” ma prawo grać swoich traktować nieufnie i podejrzewać o nieuczciwość w grze, a gracze zdani są na łaskę i niełaskę tego potentata? Coś tu nie gra chyba w tej grze. Niby tylko zabawa jest, ale chodzi przecież o grubszą forsę i obie strony powinny być zobowiązane do rzetelności.

Z poważaniem  
JÓZEF BIAŁKOWSKI  
(Łódź-Chojny)

KSIAŻKA

**ŁÓDZKIE TOWARZYSTWO  
PRZYJACIÓŁ KSIĄŻKI**

**czyli KLUB MICHAŁA KUNY**



Listy Bibliofilskie

MATERIAŁY  
Z  
DZIAŁALNOŚCI  
ŁÓDZKIEGO  
TOWARZYSTWA  
PRZYJACIÓŁ  
KSIĄŻKI

Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki nawiązuje w swojej działalności do żywych ciągów tradycji bibliofilskich w naszym mieście, zapoczątkowanych założeniem w roku 1927 Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi. Druga wojna światowa zdiesiątkowała ludzi oddanych bez reszty służbie książce, zniszczyła cenne zbiory. Pomostem między nowymi i starymi laty był prof. Jan Augustyniak — człowiek dla łódzkiej książki i bibliotek wiele zasłużony. Jego inicjatywa spopularyzowała postawy i dążenia nowego pokolenia ludzi, którzy zdecydowali się na wstąpienie w szeregi „sług pięknej książki”. 10 kwietnia 1958 roku powstał Klub Miłośników Książki. Działalność Klubu koncentrowała się głównie wokół akcji odczytowej i skupień w jedną gromadę ludzi, mieniących się biblio-

filami lub rozumiejących szlachetną, bibliofilską pasję. Dzięki wielkim inicjatywom i niewielkim fundusom (społecznie uciulanym) zdołano ocalić od zapomnienia wiele łódzkich spraw, dotrzeć ludzi dla książki łódzkiej zasłużonych, wydać kilka publikacji. Żywa i sprawna działalność KMK (ten skrót co złośliwi komilioni tłumaczyli jako KLUB MICHAŁA KUNY), brak samodzielności organizacyjnej, gdyż działaliśmy w obrębie Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich oraz profesjonalne ograniczenia przynależności do Klubu sprawiły, że zdecydowaliśmy się na utworzenie samodzielnego stowarzyszenia. 11 lutego 1967 roku zwolano zebranie konstytucyjne ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ KSIĄŻKI. Formy działalności rozszerzyliśmy dzięki

pozyskaniu poddasza przy ul. Wętkowskiego 3. Zebrania w „Mansardzie” przybrały nazwę „śród bibliofilskich”. Naliczyliśmy ich już ponad setkę z okładem. Działalność wydawnicza winna być podstawową formą pracy każdego bibliofilskiego gremium. Staramy się dokumentować drobnymi publikacjami ważniejsze wydarzenia związane z książką, przypominamy fakty wydawnicze pokryte niepamięcią, wydajemy materiały z naszej działalności w postaci „Listów Bibliofilskich”. Pierwszy i ostatni (jak dotychczas) prezes łódzkiej bibliofilów, MICHAŁ KUNA, jest autorem typograficznym wielu cennych druków. Patronował 212 Imprezom, śpieszył z pomocą i edytorską radą instytucjom i poszczególnym osobom. Dzisiaj już trudno mu podołać realizacji rozlicznych propo-



zycji wydawniczych, uczestnictwu w imprezach kulturalnych, w których drucek jest miłą pamiątką i co ważniejsze — dokumentem, jedynym śladem pracy jednostki lub grupy ludzi. Dokumentując skromny jak na razie, dorobek wydawniczy łódzkich bibliofilów, dokonaliśmy koniecznego wboru i zarejestrowaliśmy druki ważniejsze i naszym zdaniem wyznaczające dalszy kierunek naszych wysiłków.

Obok prezentujemy reprodukcje niektórych druków bibliofilskich MICHAŁA KUNY. Pełniejszy zestaw publikacji Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki eksponowany będzie w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki.

J. K. ANDRZEJEWSKI

W siedemdziesiątą rocznicę rewolucji 1905 roku rynek czytelniczy, wzbogacił się o ciekawą pozycję, wydaną wszakże pod tytułem dosyć zagadkowym dla czytelnika. Książka przedstawia dwa niezwykle ważne momenty rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w imperium carskim — powstanie czerwcowe w Łodzi i grudniowe w Moskwie w 1905 roku. Składa się ona z dwóch osobnych części. Pierwszą pt. „Powstanie zbrojne w Łodzi 22-24 czerwca 1905 roku” napisał Ludwik Mroczka. Część druga, nieco obszerniejsza, nosi tytuł „Powstanie grudniowe proletariatu Moskwy 7(20) — 19. XII. 1905 r. (1. I. 1906 r.)”, a jej autorem jest Władysław Bortnowski. Autorzy podjęli się niełatwego zadania „wypełnienia luki historiograficznej”. Praca powstała w oparciu o literaturę, publikacje źródeł i materiały archiwalne. W związku z charakterem opracowania, aparat naukowy (przypisy i odsyłacze) został ograniczony do minimum, zamieszczono natomiast wykaz literatury uzupełniającej oraz dwie mapki.

Zgodnie z konstrukcją książki, jej prezentację należy rozpocząć od części przedstawiającej powstanie czerwcowe w Łodzi. Aby wprowadzić czytelnika w problematykę, autor rysuje obraz życia społeczno-politycznego polskiego Manchesteru na początku XX wieku, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju ruchu robotniczego, położenia klasy robotniczej, skomplikowanej struktury narodowościowej i stosunków społecznych. W narastającym od 1904 roku napięciu społecznym, jak pisze autor „...wiadomość o wypadkach „krwawej niedzieli” 22 stycznia w Petersburgu odegrała rolę „detonatora rewolucji”. Powszechny strajk styczniowo-lutowy przebiegał pod hasłami ekonomiczno-politycznymi i stanowił preludium do walk rewolucyjnych w Łodzi i okręgu. Dokładny przebieg strajku na kartach książki przedstawiony został obrazowo m. in. dzięki obszernym fragmentom ciekawych i mało znanych relacji ówczesnych świadków socjalistów. Słusznie podkreśla autor, iż znaczenie tego strajku polegało nie tylko na zwycięskich efektach zdobyczy ekonomicznych robotników, ale chyba głównie w przyspieszeniu rozwoju świadomości

proletariatu, który stał się siłą napędową rewolucji. Robotnicy przekonali się bowiem o potencjalnych możliwościach własnej siły jako klasy, dzięki takiej formie walk, jak strajk powszechny. Nastąpił też wzrost poczucia więzi wśród robotników, rozwijała się ich świadomość polityczna, a także wzrastało poczucie własnej godności. Wydaje się, że ten watek obserwacji

nieś też do ich przeciwników — fabrykantów.

Obok wystąpień ekonomicznych i politycznych narastały dążenia narodowyzwoleńcze, na które słusznie zwraca uwagę autor przy okazji strajku szkolnego czy manifestacyjnych obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja. Bezpośrednim wstępem do powstania stała się „bitwa o fabryki” w końcu

PAWEŁ SAMUŚ

## DWA POWSTANIA REWOLUCJI 1905 roku

rozwoju świadomości robotników stanowi jeden z cenniejszych elementów opracowania. Na uwagę zasługuje także inna sprawa — formy walki obu walczących stron. Fabrykanci zastosowali lokaut — miało to miejsce w marcu Tow. Akc. Łódzkiej Manufaktury Nieciarnianej. Robotnicy w walce ekonomicznej odpowiedzieli nową formą walki — strajkiem okupacyjnym. Pierwszy taki strajk, choć jeszcze nieudany, odbył się w kwietniu w zakładach Heinza i Kuntzera na Widzewie. Od lutego dochodziło coraz częściej do krwawych starć pomiędzy robotnikami i policją, a zdobywane doświadczenia zostały wykorzystane przez robotników w powstaniu.

Autor przedstawia kolejne etapy narastania walki rewolucyjnej w Łodzi, która od majowych wystąpień politycznych proletariatu przeszła w gwałtowne strajki ekonomiczne. W walce tej rozwijały się także partie robotnicze. Sądzą, iż ciekawy i żywy tekst zyskałby jeszcze bardziej po nasyczeniu go w większym stopniu nazwiskami działaczy robotniczych. Można to od-

maja i czerwca. Była to walka robotników o zdobycze socjalne, a głównie o wprowadzenie tzw. konstytucjonalizmu fabrycznego, tzn. o uzyskanie przez załogi wpływu na stosunki w fabryce, dobór personelu, zniesienia rewizji osobistych itp. Stąd też walka przybrała tak uporczywy charakter — codziennie w Łodzi strajkowało kilkadziesiąt tysięcy robotników. Warto dodać, iż był to problem aktualny także w 1906 roku, ponieważ robotnicy uzyskali szereg sukcesów w tej walce, a konstytucjonalizm fabryczny stał się przysłowiową solą w oku fabrykantów. Finał tej sprawy rozegrał się w wielkim lokaucie na przełomie 1906/1907 r., kiedy to robotnicy, po dramatycznej walce z potężnym związkiem przemysłowców, przegrali.

Na tle wzrastającej temperatury wydarzeń i wzrostu nastrojów bojowych wśród robotników, autor przedstawia stosunek partii robotniczych do kwestii powstania zbrojnego. SDKPiL, w której panowało przekonanie o żywiołowym rozwoju rewolucji, nie wysuwała hasła powstańczego ani nie prowadziła przygotowań organizacyjnych w tym kierunku. Być może na stanowisku łódzkiej SDKPiL zaważyła nie tylko błędna ocena sytuacji, ale także jej słabość organizacyjna? PPS, chociaż silniejsza organizacyjnie od SDKPiL, również nie czyniła przygotowań powstańczych, a przeciwnie — starała się hamować bojowe nastroje robotników. Spontaniczny odwet mas robotniczych, który wybuchł po bestialskiej masakrze demonstracji w dniu 21 czerwca na ul. Piotrkowskiej, wymknął się spod kontroli partii socjalistycznych i przerodził się w żywiołowe powstanie zbrojne.

Znaczenie powstania czerwcowego robotników łódzkich polegało na tym, iż było to pierwsze zbrojne przeciwstawienie się caratowi w Królestwie Polskim, a jednocześnie pierwsze wystąpienie zbrojne klasy robotniczej w imperium carskim od czasu powstania styczniowego, które zintensyfikowało rozwój rewolucji w Rosji. Stało się przykładem stosowania wyższych form walki dla partii leninowskiej, która przygotowała powstanie moskiewskie w oparciu o doświadczenia łódzkie.

Wprowadzenie do drugiej części książki stanowi rozdział pt. „Stara stolica”. Autor kreśli w nim obraz Moskwy, „serca Rosji”, a także jej rolę w różnych dziedzinach życia imperium.

Przedstawione zostało stosunkowo szerokie tło przyszytych wydarzeń rewolucyjnych, początki i rozwój ruchu robotniczego. Szczególnie dużo miejsca poświęcał autor SDPRR, trochę mniej innym partiom, np. eserowcom (PSR), a zupełnie niewiele głosnej działalności anarchistów. Z wielką znajomością problematyki przeprowadza autor charakterystykę rewolucyjnych wydarzeń w Rosji w okresie od „krwawej niedzieli” do manifestu październikowego 1905 roku. Ten etap lapidarnie określił jako „walkę o konstytucję”. Rzec charakterystyczna — ruch strajkowy proletariatu Moskwy w styczniu miał zasięg ograniczony, podczas gdy w Królestwie Polskim trwał potężny strajk powszechny. Specyfika sytuacji społeczno-politycznej Moskwy był wówczas silny ruch ugrupowań inteligentkich i burżuazyjnych. Tu m. in. koncentrował się ośrodek ruchu działaczy ziemskich, którzy domagali się, najogólniej rzecz biorąc, przeprowadzenia przez carat reform burżuazyjnych i dopuszczenia do współwładzy. Z tych kręgów wyłoniła się z czasem m. in. Partia Konstytucyjno - Demokratyczna, zwana potocznie kadecką oraz ugrupowanie oktyabrystów (październikowców).

Sporo miejsca poświęca również autor rozwijającej się organizacyjnie SDPRR i kontrowersjom w jej łonie, kiedy rozłam na bolszewików i mieniszewików stał się faktem. Na tle rozwoju wydarzeń rewolucyjnych w Rosji (strajk latem w Iwanowo-Wozniesieńsku, bunt na pancerniku Potiomkin) przedstawia rolę Moskwy. Stała się ona ośrodkiem ruchu strajkowego we wrześniu i październiku. Zainicjowany przez ko-

powaniom rewolucyjnym, stosując na przemian ustępstwa i surowe represje.

W okresie listopad — grudzień partię rewolucyjną i proletariatu przeszły „drogę na barykady”, jak to określił autor. Eetapowi temu poświęcono w pracy dużo miejsca. Ukazana została organizatorska rola bolszewików w przygotowywaniu powstania w Moskwie, m. in. poprzez szkolenie drużyn bojowych, gromadzenie broni, agitację w wojsku. Tworzono też ośrodki kierownicze — obok Komitetu Moskiewskiego SDPRR rolę taką zaczęły odgrywać powołane wówczas: Rada Delegatów Robotniczych i rady dzielnicowe. W porównaniu z powstaniem łódzkim był to znaczny krok naprzód.

W grudniu napięcie wzrastało z każdym dniem, a robotnicy parli do strajku powszechnego, który miał przekształcić się w powstanie zbrojne, ale jak pisze autor „...entuzjazmu dołóż nie podzieliło kierownictwo Komitetu Moskiewskiego (SDPRR), bowiem część jego członków nie wierzyła w powodzenie powstania”. Konferencja SDPRR oraz Rada Delegatów Robotniczych pod wpływem nastrojów robotniczych postanowiła ogłosić od 7 (20). XII. 1905 r. strajk powszechny, który przekształcił się w powstanie zbrojne.

Przebieg powstania grudniowego przedstawił W. Bortnowski w specjalnym rozdziale, który, jak sądzą, jest najciekawszy. Napisany został z pasją, żywo i barwnie, z bogatą znajomością problemu.

Ostatecznie bohaterskie powstanie robotników moskiewskich utopione zostało przez władze carskie we krwi. Przyczyny klęski były po części po-



Reprod.: WŁODZIMIERZ PARYS



Reprod.: WŁODZIMIERZ PARYS

lejarzy węzła moskiewskiego, powszechny strajk polityczny ogarnął całe imperium. Pod wpływem tego uderzenia rewolucji carat dla uratowania monarchii zmuszony został do ustępstw i wydania tzw. Manifestu październikowego zawierającego obietnice „darowania” swobód obywatelskich. Po manifestacji rewolucja dla burżuazji i liberałów była zakończona, ale dla proletariatu i inteligencji związanej z ruchem socjalistycznym był to moment nakazujący zmianę taktyki. W Rosji, a także w Moskwie, doszło do kontr-ofensywy arcyreakcyjnych sił tzw. czarnej sotni, która pod hasłami obrony „...cara, świętej wiary prawosławnej” przed buntownikami i anarchistami dokonywała masakry rewolucjonistów i pogromów Żydów. Władze carskie podjęły również ofensywę przeciwko ugru-

dobne, oczywiście najogólniej rzecz biorąc, do łódzkich: odosobnienie walczących od innych ośrodków, brak uzbrojenia, brak jednolitego, sprężystego kierownictwa i fakt, iż nie udało się przeciągnąć wojska na stronę rewolucji. Powstanie grudniowe stanowi punkt kulminacyjny dla rewolucji w Rosji, po którym zaczęło się jej odchylenie. Inaczej było jednak w Królestwie Polskim, a zwłaszcza w Łodzi i okręgu, gdzie walki rewolucyjne przez cały rok 1906 utrzymywały się na wysokim poziomie. To stanowiło, obok aspektów narodowyzwoleńczych, o specyficie rewolucji 1905—1907 roku na ziemiach polskich.

L. Mroczka, W. Bortnowski „Dwa powstania”, Wydawnictwo Łódzkie, 1974, str. 288.

# POEZJA

JULIAN TUWIM

## ZAKOCHANY BIBLIOFIL

Na co mam przysiąc, Piękna, że z żądzy umieram?  
Ze mi się na twój widok serce w pieśń rozdzwania?  
Na komplety Kolberga, „Wisły”, Estreichera!  
Na dziadowskich kantyczek groszowe wydania!  
Na „Bandytę z miłości” (a miałem go, drania!)  
Na „Kwiaty” Rozbickiego — z ryciną! Rzecz drobna,  
Ale nie do zdobycia — jak ty do kochania...  
— Przysięgam na te książki, na każdą z osobna!

Jakże cię mam przekonać, że mi sen odbiera  
Wspomnienie o twych oczach i światł mi przesłania?  
Kłnę się na Syreniusza, Siennika, Kirchera  
(„Mundus Subterraneus”), na „Podróżę Frania”,  
Na obscenium sprzed wieku „Hrabina Melania”,  
Na panegiryk „Muza weselnie-żałobna  
W dźwięczno-wdzięcznych melodiach tkliwego gruchania” —  
— Przysięgam na te książki, na każdą z osobna!

Ginę, Pani! Jak pragnę zdobyć Guliwera  
w edycji M. Glücksberga! Przysięgam na „Zdania  
I uwagi moralne Starego Fryzjera”,  
Na „Młot na czarownicę”, na traktat „De mania  
Scribendi in latrinis”... Ginę z miłowania...  
Zapomnieć? Nie! Zapomnieć Ciebie nie podobna!  
A że kocham — przysięgam Ci w chwili rozstania  
Na wszystkie książki razem i każdą z osobna.

### PRZESŁANIE

Pani! Żegnaj raz jeszcze i pięknie się kłaniam...  
Gdy nie chcesz bibliofila — niech Cię jakiś snob ma...  
Jedno wiedz: dziesięć takich oddam bez wahania  
Za każdą z owych książek, za każdą z osobna.

ŁÓDZKIE  
TOWARZYSTWO  
PRZYJACIÓŁ  
KSIĄZKI

Włodzimierz  
Majakowski  
Poeta  
robotnik

w przekładach  
Witolda  
Wandurskiego  
i  
Władysława  
Broniewskiego

WYDAWNICTWO  
ŁÓDZKIE  
1974



Jan F. ma 66 lat. Twierdzi, że jest w prostej linii potomkiem czeskich reformatorów, którzy w 1807 roku sprowadzili się do Z. i zapoczątkowali rozwój przemysłowy osady zakładając tu warsztaty tkackie. Nitkę pędzi po dziadku i ojcu. Przez pierwszych pięć powojennych lat prowadził dużą firmę, która miała swoje reprezentacyjne biuro w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej. W 1950 roku przedsiębiorstwo musiało skurczyć się do kilku maszyn a ich właściciel wstąpił do spółdzielni włókienniczej. Z okresu prosperity zostały mu jednak pewne oszczędności. W całym miasteczku uchodził za człowieka zamożnego. Zresztą nigdy nie krył swego dostatku. Lubiał nawet popisywać się swoim szerokim gestem i pieniędzmi. W miejscowej restauracji czasem zamawiał tyle wódki dla wszystkich obecnych, ile zdołał wypić. To było już wówczas, gdy sam nie mógł pić. Lekarz go ostrzegł, że rozpoznal objawy dusznicy bolesnej i nerwicy lękliwej serca. Kazał mu kategorycznie rzucić palenie i stronić od kieliszka. Jan F. cieszył się więc, że inni mogą się upijać a jego stać, by za nich płacić.

Miał syna, którego traktował jak wspólnika. 3 października 1970 roku o godz. 23 zginął w wypadku w P. Usiłował przebiec przez jezdnię przed nadjeżdżającym tramwajem. Był nietrzeźwy, potknął się na szynach, a motorniczy nie zdążył zahamować. 36-letni jednak Jana F. zostawił żonę i trzy córki w wieku szkolnym. Opiekuje się nimi. Pomaga też żonie, choć od sześciu lat żyją w separacji ze względu — jak określa — na niezgodność charakterów.

O sobie mówi, że jest prawdomówny i odnosi się z pełnym zaufaniem do innych ludzi. Chętnie pokazuje prywatne fotografie. Niektóre są kolorowe, wykonane przy różnych okazjach, zawsze w licznych towarzystwach znajomych i przyjaciół. Jak choćby tych z RFN, poznanych na wczasach w Krynicy dwa lata temu. Na wszystkich fotografiach Jana F. wyróżnia staranna elegancja. Lubi dobrze i modnie skrojone garnitury, a mucha pod brodą oraz okulary w złotej oprawce dopełniają prezencji pełnej niewymuszonego sztyku i stateczności stosownej do wieku.

SKAGRA DO PROKURATURY

Właśnie ten zrównoważony starszy pan stał się bohaterem historii, którą zrazu traktowano w kategoriach szokującego skandalu towarzyskiego, ale rychło okazało się, że rzeczywistość padła ofiarą roszko, sprytnie ukartowanego przez 53-letnią Adelajdę M. i jej 60-letniego męża Janusza M. Istna bomba wybuchła, gdy 16 sierpnia 1974 roku do Prokuratury Powiatowej oraz miejscowego Komisariatu MO wpłynęły pisma jednakowej treści:

„Zwracam się z uprzejmą prośbą o wszczęcie dochodzenia i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej Adelajdy i Janusza M., zamieszkałych w Z., którzy w październiku 1973 roku podstępnie i przy użyciu groźby wyłudziłem od mnie 1200 dolarów amerykańskich, 480 bonów dolarowych i 500 koron czeskich oraz 61 tys. zł polskich.

Okoliczności tej sprawy są następujące. W sierpniu 1973 roku przebywałem na urlopie wypoczynkowym w Ciechocinku. Wtedy to przypadkowo spotkałem swoją znajomą Adelajdę M. Przez okres kilku dni naszego pobytu często przebywaliśmy w wspólnym towarzystwie. Po powrocie mąż Adelajdy M. poprosił mnie o udzielenie pożyczki w kwocie 50 tys. zł. Pożyczkę tej udzieliłem mu dając pieniądze w obecności jego zięcia. Kiedy po upływie określonego terminu poprosiłem o zwrot pieniędzy ob. Janusz M. nie chciał mi ich zwrócić. Twierdził, że będzie to rekompensata za to, że będąc w Ciechocinku usiłowałem zgwałcić jego żonę. 4 października 1973 r. otrzymałem telefon od Adelajdy M., abym przyszedł do niej w celu omówienia pewnych interesujących nas spraw. Zaznaczyła przy tym, że będzie w domu sama, gdyż mąż jej wyjechał do córki. Sądząc, że chodzi o zwrot wyżej wymienionych pieniędzy 6 października 1973 r. o godz. 19 udaliśmy się do domu małżeństwa M. Przyjęła mnie sama Adelajda, która przosiła o zdjęcie płaszcza, a następnie poczęstowała mnie koniakiem. Zachowywała się w stosunku do mnie prokuratorowi. Usiłowała mnie całować i przebywała jedynie w cienkim szlafroku. Po upływie ok. 30 minut pobytu w mieszkaniu miało dojść do zbliżenia fizycznego. Z kuchni niespodziewanie wszedł Janusz M. z nożem i toporkiem w rękach a nadeń wpuszczając dwa psy, które rzuciły się na mnie.

Ob. Janusz M. przy pomocy noża i toporka usiłował mnie zabić. Z uwagi na to, że jestem silniejszy fizycznie, przedmioty te mu wyrwałem. W międzyczasie psy pokąsały mnie po ciele.

Ob. Janusz M. przez ok. 28 godzin wzięł mnie w zamkniętym mieszkaniu. Wieczorem drugiego dnia, dając mi zastępcze ubranie, zaprowadził mnie z psem do mojego domu i tam zmusił do wypłacenia dolarów, bonów

KONRAD TUROWSKI

ROZBOJ Z MIŁOSNĄ ZASADZKĄ

I koron, a ponadto wymusił napisanie zobowiązania, że będąc co miesiąc przez okres 2 lat po 5 tys. zł. Z tego tytułu zapłaciłem 10 tys. zł.

Po upływie pewnego okresu czasu, będąc już przekonany o tym, że małżeństwo M. oboje zaplanowali te formy wyłudzenia pieniędzy, zażądałem od nich zwrotu wyżej wymienionych kwot. Po pewnych oporach wyraził zgodę. W dniu 17 maja 1974 roku umówiliśmy się na pl. Wolności w Z. Przy mnie ob. Adelajda M. przeliczyła pieniądze, a następnie zażądała zwrotu pokwitowania. Nie mając go przy sobie wróciłem do domu. Po powrocie na miejsce spotkania wręczyłem pokwitowanie małżeństwu M. i nie zważając na środki przysięgam trzy paczki owiązane nitką. W domu kiedy sprawdziłem ich zawartość, okazało się, że był w nich papier toaletowy. Mając powyższe na uwadze prosię o wszczęcie dochodzenia w tej sprawie, gdyż czuję się wysoce poszkodowany i oszukany przez małżeństwo M.

„IDYLLA WE TRÓJCE”

Nim podjęto pierwsze czynności urzędowe, w Z. już wrzało. Adelajda i Janusz M. przecież cieszyli się dość przykłądną opinią. Od kilkunastu lat prowadzili sklep tekstylny „Spolem” przy głównej ulicy, w drewnianym budynku ich własnością. Wychowali trzy córki. Najstarsza była ich chluba. Wszyscy wiedzieli, że ukończyła studia prawnicze, wyszła za mąż i mieszka w stolicy. Niecodzienne zdarzenie było zaszkoczeniem powszechnym. Szybko obrastało plotkami i pikantnymi szczegółami. Rozniosło się tak szeroko, że znalazło swoje odbicie nawet na łamach „Kulisów”, które w numerze 43 pisały w nocie zatytułowanej „Idylla we troje”:

„Na wczasach w Ciechocinku 65-letni rzemieślnik poznał 50-letnią panią. Oboje pochodzili z Z. co wprawie scementowało znajomość, a potem pozwoliło jej się nadal pomyślnie rozwijać. Po pewnym czasie kobieta zaprosiła swojego znajomego do siebie dając do zrozumienia, że męża nie będzie w domu i że wizyta może przebiegć lirycznie. Co okazało się być prawdą tylko częściowo. Nim część liryczna dobiegła końca, pan domu jednak zjawił się zbrojny w noż i siekiere. Prerażony amant usiłował zbiec, ale puszczono nań psy, które pokąsały go i zatrzymały. Wtedy oboje małżonkowie uwięzili go w swoim domu, gdzie przez dwa dni trzymali pod kluczem, żądając, by podpisał zobowiązanie, że co miesiąc będzie za karę płacił po 5 tys. zł. Zdesperowany w końcu się zgodził, a nawet przez parę miesięcy istotnie płacił, aż znajomy, któremu zwierzył się ze swych kłopotów poradził mu złożyć skargę do milicji. Przedsiębiorca para małżeńska została aresztowana...”



Jan F. i małżonkowie M. znają się od wielu lat. W 10-tysięcznym miasteczku, gdzie trudno cokolwiek ukryć przed wścibstwem sąsiadów, ludzie pamiętają, że Ada była dorodną panną i mogła sobie wybierać kawalerów, którzy tłumnie ubiegali się o jej względy. Wyszła za mąż za Janusza M. bo górował nad innymi wykształceniem. Imponowało jej, że po ukończeniu seminarium nauczycielskiego pracuje w miejscowej szkole. Czy Jan F. znalazł się w gronie odrzuconych adoratorów? Historia milczy. Dość, że zawsze z większą estymą odnosił się do Adelajdy M. niż jej męża. Sam to podkreśla mówiąc, że ze względu na nią żyrował weksel na 20 tys. zł jak otwierali sklep. Ona też sprawiła, że swego poręczenia udzielił Januszowi M., gdy starał się o 7 tys. pożyczki w SOP. Pięć czy sześć lat temu, wystarczyło jedno słowo Adelajdy M. a wyjął z portfela 10 tys. zł i pożyczyl im by mogli kupić samochód „Renault-10”. Po kilku tygodniach, jak obiecali, zwrócili całą sumę.

Spotkanie w Ciechocinku było czymś przypadkiem. Jan F. bowiem wybrał się na wczasy do Sopotu, ale tam kwatery nie znalazł i dlatego pojechał do Ciechocinka, gdzie już nie raz bywał. Swoją znajomą spostrzeź na ulicy. Podeszedł do niej i nawiązał rozmowę. Oboje ucieszyli się z tego spotkania. Adelajda M. zwierzyła się, że przyjechała do znajomej, aby swojej najmłodszej córce załatwić jakąś pracę. Oboje z mężem byli przeciwni jej małżeństwu. Chcieli ją wysłać z Z. by zapomniała o narzeczonym. Pech jednak chciał, że koleżanka wyjechała na trzy dni.

Jan F. zaofertował swoją pomoc. Postarał się o pokój w tym samym pensjonacie, w którym mieszkał. Jeszcze tego samego dnia Adelajda M. zatelefonowała do męża informując, że wróci za kilka dni bo nie zastała Marii M. Nie wspominała o spotkaniu ze wspólnym znajomym, choć Jan F. był

przy rozmowie prowadzonej z urzędu pocztowego w Ciechocinku.

Pięć dni spędzili razem, aż Jan F. odprowadził ją do autobusu odjeżdżającego do Łodzi. Sam został jeszcze na parę dni. Nie mógł wiedzieć, że w tym czasie w Ciechocinku była jeszcze jedna osoba z Z. Nim wrócił do domu, Janusz M. już wiedział, o spacerach we dwoje i o tym, że mieszkali w jednym domu. Nie zdradzał się jednak niczym. Pewnego dnia przyszedł z zięciem i zapytał czy mógłby pożyczyć większą sumę pieniędzy. Nie wymieniał kwoty. Dodał tylko: — Nie bój się, mam przecież samochód, złoto...

Jan F. miał w domu 55 tys. zł. Odliczył z tego pięć tys. zł w banknotach po 500 i 100 zł odkładając na bok. Zastrzegł, że może pożyczyć 50 tys. zł, ale tylko w obecności Adelajdy M. Jego nieufność do Janusza M. pogłębiło to, że niedawno wrócił z leczenia odwykowego w Warcie. Traktował go jak osobę nie w pełni odpowiedzialną za swoje czyny i decyzje.

W trójkę, samochodem zięcia, pojechali do domu małżeństwa M. Adelajda potwierdziła, że pieniądze naprawdę są im bardzo potrzebne. Nie pytał co z nimi zrobią. Wręczył jej 50 tys. zł nie troszcząc się zbytnio o precyzyjne określenie terminu oddania pożyczonych kwoty.

Nie minął chyba tydzień, jak Jan F. spotkał Janusza M. Dowiedział się, że wysłał żonę nad morze, by trochę odpoczęła od pracy w sklepie i domowych obowiązków. Nazajutrz zadzwonił telefon z Koszalina. Adelajda M. zapraszała Jana F. do niej przyjechał. Umówili się w Mielnie. Zamieszkali w pobliskim Mielenku. Na miejscu Jan F. zorientował się, że nie są sami. W sąsiedztwie wynajmowała kwatere córka Adelajdy M. Wprawdzie mieli unikać spotkań, ale taka



sytuacja wzbudzała jego złe przeczuca. Nie minęły nawet wówczas, gdy niepożądany świadek już wyjechał. Dał Adelajdzie 500-złotowy banknot i kazał wracać do Z. Dziś dokładnie wie, że słusznie wtedy postąpił. W ślad za nim ruszył bowiem do Mielenka, Janusz M. Pewną zwiłokę w jego wyjeździe spowodowało to, że nie mógł znaleźć kierowcy, a sam nie ma prawa jazdy. Na szczęście więc minęli się w drodze i życie dalej toczyło się jakby nigdy nie.

ZASADZKA W MIESZKANIU

6 października 1973 roku o godz. 19, jak co dzień o tej porze, z przystanku PKS w Z. odjechał ostatni autobus do Łodzi. Jan F. musiał go widzieć idąc do mieszkania małżeństwa M. Adelajda czekała przed domem. Ledwie przekroczyli bramę z czułością pocałowała go w policzek. Mówi, że to go wtedy irroczę zaskoczyło. Spodziewał się tylko zwrotu pożyczonych pieniędzy.

Przez werandę i kuchnię weszli do pokoju. Adelajda mówiła, że jest sama bo jej mąż wyjechał do Warszawy na imieniny córki. Często wychodziła z pokoju do kuchni. Raz zostawiła drzwi otwarte. Widział jak z werandy weszła do łazienki. Po chwili wróciła w powiewnej podomce. Poczęstowała go koniakiem, zachęcając, by również się rozebrał. Nie opierał się zbytnio. Wypil jeden kieliszek.

Był tylko w białych majtkach, gdy do pokoju wpadł Janusz M. z toporkiem w prawej, i nożem kuchennym w lewej ręce. Za nim wbiegły dwa spuszczone z łańcucha psy. Krzycając: — Teraz cię zabiję! Gospodarz rzucił się na roznegliźnianego Jana F. Wywiązała się bójka. Mimo zaskoczenia, Jan F. zdolał dość szybko rozbroić rozsierdzonego męża. Ale jeden pies go ostro atakował i dotkliwie gryzł w różne części ciała. Drugi tylko czekał i biegł po pokoju, Adelajda M. nie wtrącała się, stojąc z boku, pewna finału.

Jan F. ociekał krwią, gdy w końcu Janusz M. odciągnął od niego rozjuszone zwierzę. Kazał mu usiąść przy stole. Adelajda przyniosła jakieś pa-

stylki na uspokojenie i szkiankę zimnej wody. Później oboje z mężem, swemu niedawnemu dobroczyńcy, teraz gęsto pogryzionemu, opatrywali rany smarując płoktaniną.

Jan F. pragnął tylko jednego — za wszelką cenę wyostać się z mieszkania i być jak najdalej od małżonków M. Był przekonany, że pan domu może spełnić groźbę, gdy wykrzykiwał pod jego adresem: — Jak cię zabiję to i tak więcej nie dostanę niż pół roku bo byłem w Warcie...! Pamiętał dramat, jaki rozegrał się przed laty w Z. Kierownik szkoły, w której wówczas pracował Janusz M., w pijackim amoku zabił siekiere 10-letniego ucznia i poranił dziewczynkę. Ludzie mówili, że dostał niewielki wyrok.

Prerażony sytuacją w jakiej się niefortunny znalazł, godził się Jan F. na wszystko. Wziął postusznie do ręki długopis i pisał na kartkach wyrwanych z zeszytu szkolnego co tylko mu dyktowano: „Ja niżej podpisany Jan F., zamieszkały w Z., zobowiązuję się zapłacić 5 tys. zł (słownie: pięć tysięcy zł), najpóźniej do dnia 12 października 1973 roku panu Januszowi M., bez stawiania zwiłoki. Na wypadek śmierci pana Janusza M., kwotę tę wypłacić żonie jego, Adelajdzie M...”

Takich „zobowiązań” wypisał aż 39. Na każdy kolejny miesiąc aż do grudnia 1976 roku włącznie. Szło mu jak po grudzie. Wiele razy musiał przepisywać na nowo. Małżonkowie M. byll wyomagający. Nie tolerowali poprawek czy skreśleń, chcieli by wszystkie teksty były wypisane starannie i nie mogły budzić żadnych zastrzeżeń.

„DOBROWOLNE ZEZNANIE”

Mijały więc całe godziny, a Jan F. pisał i pisał. Tylko raz Adelajda M. wyszła do kuchni i przyniosła kilka kanapek. Poczęstowali go. Po jednej miał już dość. Wciąż był tak zdenerwowany, że śliny nie mógł przelknąć.

Mijało już popołudnie następnego dnia, jak skończył pisanie „zobowiązań”. Wtedy Janusz M. zaczął mu dyktować „dobrowolne zeznanie”:

„Ja niżej podpisany Jan F. przebywając na wczasach prywatnych w Ciechocinku, w miesiącu sierpniu, po kilku dniach mojego pobytu, 26 sierpnia 1973 roku w godzinach popołudniowych (niedziela), przypadkowo spotkałem żonę mojego kolegi, Janusza M. — Adelajdę M., zamieszkałą w Z. Adelajda M. oświadczyła mi, że w dniu tym przyjechała odwiedzić swoją znajomą Marię M. Ja ją pierwszy zacząłem i przeszedłem się kawalek. Następnego dnia, tj. w poniedziałek, pilnowałem żeby ją spotkać, około g. 10, kiedy wyszła w stronę miasta. Doszedłem do niej i zaproponowałem jej wspólne zwiędzanie miasta. Po dwóch godzinach spacerowania, poprowadziłem ją pod dom, w którym mieszkałem i zaproponowałem jej, czy by nie chciała obejrzeć mojego mieszkania. Ona nie nie podejrzewając zgodziła się. Kiedy weszliśmy do mieszkania zamknąłem drzwi na klucz i siłą zgwałciłem ją. Broniła się rozpaczliwie. Ale, że ja mężczyzna silnie zbudowany, wzrostu 170 cm, wagi 85 kg, nie mogła dać rady, i w ten sposób ja zgwałciłem kobietę słabszą fizycznie, wzrostu 160 cm, wagi 60 kg.

Mąż o tym się dowiedział od znajomych z Z., którzy to przebywali w Ciechocinku.

W dniu 6 października 1973 r. będąc w Z., w rynku o godz. 19 zauważyłem jak Janusz M. wsiadał do łódzkiego PKS. Staralem się dowiedzieć od różnych znajomych, dokąd wyjechał. Dowiedziałem się, że do Warszawy. Postanowiłem wykorzystać okazję i wszedłem do ich mieszkania, bo byłem pewny, że jest sama. Zastałem ją przy szprzątaniu. Rozebrałem się do naga i przewróciłem ją na tapczan, i usiłowałem dojść do celu. Tym razem jednak się zawiodłem. Jak się później dowiedziałem, Janusz M. czekając na przystanku, również mnie zauważył. Kazał zatrzymać PKS na końcu Z. i wysiadł. Wrócił ul. Zeromskiego, wszedł od tyłu podwórka, zakradł się cichaczem do łazienki i stamtąd przez uchylone drzwi obserwował i słyszał wszystko. Kiedy wpadł do pokoju z psem owczarkiem alackim, leżałem na niej na wersalce i szamotałem się z nią, usiłując ją zgwałcić. Kiedy go zobaczyłem zerwałem się i rzuciłem na niego. Pies stanął w jego obronie. Rzucił się na mnie i pogryzł mnie.

Janusz M. jest od pięciu lat na rencie inwalidzkiej (operacja płuc, dysk kregosłupa i bezwład prawej stopy). Jest on wzrostu niskiego, szczupły, wagi 55 kg. Nie chce robić jednak skandalu i publikii na całe miasto, došliśmy do porozumienia. Obiecałem mu wynagrodzić za krzywdę moralną jaką mu wyrządziłem i zapłacić 1200 dolarów, 480 bonów, 500 koron czeskich. Wypisałem też 39 zobowiązań płatnych każdego miesiąca dnia dwunastego.

Dalszy ciąg na str. 8

## ANATOMIA ZBRODNI (II)

Dalszy ciąg ze str. 1

tylko z tego względu nie mogła być ona spowodowana kulą z karabinu typu Mannlicher, który ma kaliber 6,5 mm." Lekarze, którzy badali prezydenta, mieli w swej praktyce prawie codziennie do czynienia z ranami postrzałowymi i nie mogli nie rozróżnić rany wlotowej od wylotowej. To dość jednoznaczne orzeczenie lekarzy komisja Warrena usiłowała zinterpretować teza, według której Oswald oddał swój pierwszy strzał zanim jeszcze samochód prezydenta skręcił w Elm Street, a więc w momencie, gdy jechał Houston Street w kierunku budynku składnicy. Według innej wersji prezydent jadąc Elm Street gwałtownie odwrócił się w kierunku zgromadzonych na chodniku ludzi tak, że jego gardło znalazło się na linii strzału Oswalda. Z obu wersji komisja musiała jednak zrezygnować, gdy wyświetlono film z kamery Zaprudera oraz ujawniono liczne zdjęcia fotograficzne wykonane tuż przed i w trakcie zamachu. Wówczas zaakceptowano jako ostateczną wersję prezentowaną na początku.

### PYTANIA

Tymczasem przed władzami śledczymi, po analizie rany w gardle, stały trzy pytania:

1. Czy Oswald był tylko pomocnikiem. Inny uczestnik zamachu, stojąc przodem do nadjeżdżającej limuzyny, oddał ten strzał do prezydenta?
2. Czy Oswald nie był w składnicy książek w chwili zamachu, lecz na pagórku z prawej strony przejazdu (lub na wiadukcie)?
3. Czy rana wlotowa była w rzeczywistości raną wylotową?

Ponieważ dwie pierwsze możliwości stały w wyraźnej sprzeczności z przyjętymi już przez komisję ustaleniami, uznano zatem trzecią z nich, choć ta stała w sprzeczności z orzeczeniem lekarzy. Według tegoż orzeczenia rana w gardle miała od 4 do 6 mm średnicy, zaś rana wylotowa przy tego typu kalibrze miałaby około 10-13 mm średnicy, a więc byłaby dwa do trzech razy większa. Co ciekawe, komisja nie miała już tych problemów, gdyż chodziło o określenie charakteru rany w plecach gubernatora Connally'ego. Jednoznacznie stwierdzono w raporcie, iż z powodu małego rozmiaru i okrągłego otworu rany w plecach gubernatora Connally'ego, dr Robert Shaw orzekł, iż jest to rana wlotowa. Z kolei fakt, iż rana

klatki piersiowej gubernatora była znacznie większa i miała „poszarpane brzoży”, pozwolił doktorowi Shaw wyciągnąć wniosek, „iż był to punkt wylotu kuli” — jak wyjaśnia dalej raport komisji.

Lekarze z Parkland Hospital próbowali uratować prezydenta przez dokonanie przecięcia tchawicy, lecz Kennedy zmarł podczas tej operacji. Jako przyczynę zgonu lekarze: dr McClelland i dr Marion Jenkins podali —

„ciężkie uszkodzenia głowy i mózgu wywołane strzałem w lewą skroń”. Strzał taki mógł być oddany tylko z boku, lub ukośnie z przodu i to tłumaczy fakt, dlaczego głowa prezydenta odskoczyła, po trafieniu, do tyłu. Tymczasem w opinii komisji Warrena kula ugodziła prezydenta w prawą, tylną część głowy, przebiła czaszkę i wyszła z prawej strony. Wyciągnięto stąd wniosek, iż „mały otwór w tylnej części czaszki Kennedy'ego był punktem wlotu oraz, że szeroki otwór z prawej strony jego głowy był raną wylotową”. W tym czasie, kiedy padł ów fatalny strzał, samochód z prezydentem osiągnął punkt na Elm Street odpowiadający wysokości pagórka porośniętego trawą, znajdującego się z prawej strony trasy przejazdu. Kiedy kula trafiła Kennedy'ego — jak stwierdził później jeden z fotografów — upadł on na lewy bok i osunął się na tylną część siedzenia limuzyny. A zatem jak mogła komisja wytłumaczyć ów nagły, gwałtowny ruch ciała prezydenta na lewo i ku tyłowi? Twierdzenie komisji, iż strzał padł z tyłu, jest więc sprzeczne z prawami fizyki, gdyż prezydent upadłby wówczas ku przodowi. Potwierdzają to także zeznania naocznych świadków. Wielu z nich stwierdziło, iż było możliwe, że kula nadleciała z prawej strony, ale na pewno nie z tyłu. James W. Altgens, fotograf Associated Press, który wykonał owo słynne zdjęcie, gdy druga kula ugodziła Kennedy'ego stał wówczas na lewo od prezydenta na południowej stronie Elm Street. A oto, co zeznał przed komisją dochodzeniową:

„Cząstki krwawej masy mózgu, które wytrysnęły z boku jego głowy w

kierunku miejsca, w którym stałem, wyraźnie wskazywały, iż strzał padł z lewej strony głowy prezydenta.”

Inny świadek, Charles Brehm, stał ze swym małym synem na południowym skraju Elm Street, około 6 metrów od limuzyny, kiedy kula przebiła głowę prezydenta. „Widziałem bardzo wyraźnie skutek trafienia prezydenta przez drugą pocisk” — powiedział Brehm Markowi Lane, autorowi

na z dnia 9 grudnia 1963 roku czytany na temat wspomnianej autopsji, co następuje:

„Lekarskie badanie zwłok prezydenta ujawniło, że jedna z kul przebiła ciało bezpośrednio pod barkiem na prawo od kręgosłupa, a mianowicie pod kątem 45 lub 60 stopni ku dołowi. Śladu, który wskazywałby na to, iż kula opuściła ciało, nie znaleziono.”

W dodatkowym raporcie z 13 stycznia 1964 roku FBI powtarza:

„Kula wbiła się w plecy prezydenta tylko na długość palca” (2-3 cali).

Również agent CIA, Ray Kellermann, który był obecny przy autopsji zwłok, oświadczył:

„Stajem obok podpułkownika Pierre A. Fincka, kierownika Oddziału Ran Postrzałowych w Instytucie Patologii Sił Zbrojnych USA, który badał ranę. W pewnym momencie dr Finck obrócił się do mnie i powiedział: „Nie mogę znaleźć w plecach tego mężczyzny żadnego śladu wyjścia kuli.”

### POZACIERANE ŚLADY

Komisja Warrena, która rozpoczęła swoje ustalenia w połowie grudnia 1963 roku, całkowicie pominęła zarówno stwierdzenia, jak i raporty FBI odnośnie autopsji. W międzyczasie dr Humes uczynił rzecz zadziwiająca. Spalił mianowicie swoje poprzednie notatki z autopsji i sporządził rysunek, na którym miejsce ugodzenia kuli na plecach prezydenta nagłe znalazło się bezpośrednio pod barkiem, zamiast, jak poprzednio, 15 cm pod szyją, zaś ślad, który miał rzekomo świadczyć o wyjściu kuli dr Humes umieścił na gardle. Nie wiadomo, czy dlatego, że nie mógł znaleźć odpowiedniego kanału między karkiem a gardłem, czy też raczej doszedł do wniosku, iż kula „przypuszczalnie” musiała obrać właśnie tę drogę.

Komisja Warrena nie miała żadnej możliwości sprawdzenia tego przypuszczenia, bowiem zdjęcia i rentgenogramy z autopsji nie zostały jej nigdy przedłożone. Wszystko to, na czym mogła opierać swoją wersję, to były rysunki i wyjaśnienia dra Humesa. Wspomniany wyżej rysunek pozostał natomiast w zupełnej sprzeczności ze zdjęciami marynarki i koszuli

ANDRZEJ BLAJER

## DWIE RANY

głośniejszej książki o zabójstwie Kennedy'ego: „Rush to Judgment”. „Coś, co wydawało się być cząstką czaszki prezydenta, poleciało na tył jego samochodu, na jego lewą stronę.”

Podobne zeznanie złożył oficerowie eskorty: B. J. Martin i Bobby W. Hargis, którzy jechali na motocyklach z tyłu, z lewej strony wozu Kennedy'ego. Mundury ich zostały zbrzyznane krwią i cząstkami rozpryskującego się mózgu prezydenta. Innym potwierdzeniem oświadczenia Brehma jest film z kamery Orville'a Q. Nixa, na którym wyraźnie widać, jak cząstka czaszki prezydenta pada na tylną część samochodu.

Dalszym, niewygodnym dla komisji faktem, było niezauważenie przez żadnego z ośmiu chirurgów, którzy badali prezydenta w Dallas, „mniejszego otworu” z tyłu jego głowy, którego obecność podawał raport komisji dochodzeniowej.

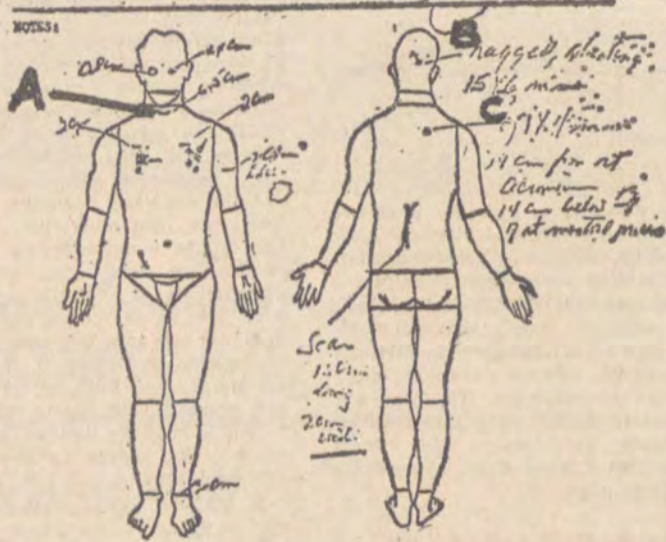
Innym, dość intrygującym faktem z badania w szpitalu Parkland było to, iż lekarze rzekomo nie oglądali pleców ofiary zamachu, a przecież właśnie na plecach miała się znajdować, według orzeczenia komisji Warrena, rana wlotowa pierwszej kuli. Jeszcze zanim to uczyniono, żołnierze piechoty morskiej załadowali zwłoki do ambulansu i przetransportowali je na pokład samolotu prezydenckiego „Air Force One”. Po wylądowaniu w Waszyngtonie ciało prezydenta zostało przewiezione do szpitala marynarki wojennej USA w Bethesda (Maryland). Tam, jeszcze tej samej nocy, w obecności licznie zgromadzonych admirałów, generałów, agentów FBI i CIA dokonano autopsji zwłok, w czasie której patolog szpitala, kmrd por. James J. Humes wypełnił dwa formularze, przewidziane w takich okazach, na których „były narysowane szkice figury ludzkiej. Na tych diagramach dr Humes zaznaczył strzałkę skierowaną w lewo od miejsca wlotu kuli z lewej strony czaszki prezydenta, w którym kula wyleciała. Jednocześnie Humes, jak sam stwierdził, wykonał około dwudziestu fotografii i około dwunastu zdjęć rentgenowskich obu ran, które po ich ujawnieniu w 1971 roku doskonale potwierdziły diagnozy postawione przez lekarzy z Dallas.

### RANA SZYI

Podczas przeprowadzania autopsji dr Humes zaznaczył na jednym ze wspomnianych już diagramów punkt trafienia kuli, 15 cm poniżej linii szyi, co — ponieważ kula weszła od góry — wykluczało możliwość jej wyjścia przez krtań. Na drugim zaś oznaczył symbolem ranę w gardle Kennedy'ego. Otóż okazało się, iż rana ta jest położona znacznie wyżej niż rana na plecach. Agent CIA, Clinton J. Hill, który oglądał ciało prezydenta Kennedy'ego, po zakończeniu autopsji, zeznał przed komisją:

„Widziałem otwór w plecach około 15 cm poniżej linii szyi, na prawo od kręgosłupa”.

W raporcie FBI do komisji Warre-



A — rana w gardle średnicy 6,5 mm (rzekomo wylotowa),  
B — rana w czaszce, która spowodowała śmierć  
C — rana w plecach (rzekomo wlotowa)

Dokument z autopsji sporządzony przez patologa, komandora Humesa.



Reprod.: WŁODZIMIERZ PARYS

## OBYCZAJE

# ROZBÓJ z MIŁOSNĄ ZASADZKĄ

Dalszy ciąg ze str. 7

Janusz M. ma pełne prawo pokierować sprawą na drogę sądową”. Obok podpisu Jana F., widnieje dopisek Adelajdy M. „Stwierdzam powyższe zeznania Jana F.” a dalej „uzupełnienie”: „Jako dowód rzeczowy, że byłem u żony w domu i chciałem ją zgwałcić Janusz M. zatrzymał spodnie jasne, buty, sweter, płaszcz ze skaju i czapkę”.

Na koniec Janusz M. wyjął wszystko z kieszeni ubrania swego więźnia.

Oddał mu sezczyrk i chusteczkę. Z przeszło dwóch tysięcy zł, które znalazł, sobie zatrzymał 1 tys. zł. Kazał mu się ubrać w jakieś stare, wyciągnięte z komórek łachy. Spodnie były za ciasne, za krótkie i bez paska. Prowadzony do swego domu oplotkami i pod eskortą psa, cały czas musiał je podtrzymywać by nie opadły.

### KOLEJNE ROZCZAROWANIE

Jan F. poczuł wielką ulgę, gdy małżeństwu M. wydał wszystkie pieniądze i wręczył mu samego w jego

własnym mieszkaniu. Nie czytał nawet „pokwitowania”, które mu wpisał, natomiast zostawił na stole. Następnego dnia poprosił jednego ze swoich pracowników, by sprowadził lekarza do opatrzenia ran. Nikomu nie mówił co go spotkało, 12 października, w dniu wypłaty w spółdzielni, poszedł na pocztę i wysłał 5 tys. zł. Jeszcze tego samego dnia spotkał Janusza M., który go spytał, czy dotrzywał zobowiązania. Chciał zobaczyć pokwitowanie. Zabrał je, gdy tylko dostał do ręki.

Jan F. postanowił więc jeszcze raz wpłacić 5 tys. zł, by zyskać choć tak nikły dowód na to, że padł ofiarą wyrafowanego sprytu małżeństwa M. Obawiał się, że bez jednego chociażby dokumentu, nikt nie da wiary w to co mówi a jedynie wystawi się na ludzkie pośmiewisko. W połowie listopada, mając już dowód wpłaty, zwrócił się do Janusza M. z żądaniem zwrotu pożyczki i pieniędzy, które był zmuszony wydać mu 7 października. Ostrzegł go, że jeśli nie otrzyma pę-

niędzy, zawiadomi władze. Wylczył, że w razie braku dolarów, bonów i koron, Janusz M. powinien oddać mu gotówką łącznie 159 400 zł.

Adelajda i Janusz M. zwlekali jak długo tylko mogli. Obiecywali coraz to nowe terminy. Sądził, że jeśli uda się im odzyskać „pokwitowanie”, które zostawił w mieszkaniu swojej ofiary, nie będzie żadnych dowodów i unikną odpowiedzialności karnej. Umyślili więc sztucznie z papierem toaletowym o czym Jan F. napisał w swojej skardze.

Wtedy stracił on już wszelkie złudzenia na polubowne załatwienie sprawy. Przeszło miesiąc układał tekst skargi aż uznał, że w takiej postaci może ją złożyć w Prokuraturze.

7 września 1974 r. przeprowadzono przesłuchanie w domu małżeństwa M. Znaleziono tylko ubranie Jana F. 13 września ponownie zarządzono przesłuchanie. Tym razem również sklepu.

Na zapleczu były ukryte pod regalem „zobowiązania” oraz „dobrowolne zeznanie”.

27 września aresztowano Janusza M. a 6 stycznia br. wydano nakaz aresztowania jego żony. Nie przynależeli do stawianych im zarzutów. Ich zeznania są jednak sprzeczne w wielu istotnych szczegółach, co zdaje się dobitnie świadczyć, że ukrywają prawdę. Prokuratura sporządziła akt oskarżenia kierując go do Sądu Powiatowego w Ł. Kiedy odbędzie się rozprawa jeszcze nie wiadomo, Sąd Powiatowy w Ł. rozważa zmianę kwalifikacji prawnej czynów opisanych w dokumencie Prokuratury. Istnieją bowiem powody budzące wątpliwość, że nie był to pospolity rozbój z miłosną zasadzką, ale miał cechy realnego zagrożenia dla życia ofiary. A w takiej sytuacji właściwym dla rozpoznania sprawy powinien być jako pierwsza instancja Sąd Wojewódzki w Łodzi.

KONRAD TUROWSKI



Kierowca prowadzący ciężką „Skodę” ze znakiem TIR opowiadał, że często zdarza mu się wozić nasze meble do prywatnych nabywców w RFN, Belgii i Francji. Zagraniczny klient płaci słono za transport, lecz i tak wychodzi na swoje. Stąd wniosek, że w Polsce meble są tanie. To znaczy o wiele tańsze, niż sprzedawane w krajach kapitalistycznych, wyprodukowane przez tamtejsze fabryki.

W magazynie wzorcowni radomszczańskiego „Famegu” widziałem austriacki komplet wypoczynkowy na kółkach, składający się z 2 foteli i jednodobowej sofa. Obok podobny polski komplet, ale bez kółek: sofa dwuosobowa, a fotele rozkładane, tworzące drugą pojedynczą sofę. Nasz miał ce drugą pojedynczą sofę. Nasz miał ce drugą pojedynczą sofę. Nasz miał ce drugą pojedynczą sofę. Nasz miał ce drugą pojedynczą sofę.



Fot. Włodzimierz Paryś

zniecono kółko w podobnym komplecie austriackim. Znajoma mogłaby chwalić się wrakiem, gdyby jej nie poratowali w „Famegu”, chociaż sami kółek nie mają. Ale do kółek jeszcze wrócimy...

Teraz należałoby wyjaśnić, dlaczego chwale polskie meble, gdy tymczasem ludzie patrzy na siebie wrednie w oczy i tylko myślą, jakby tu wysiadać kogoś z kolejką, aby wrzucić zdobyc w sklepie te graty do M-4. Jeśli powiem, że „Fameg” jest zakładem typowo eksportowym, i to tak dobrym, że dodatkowo wyeksportował do USA dwie dziewczyny, które wyszły za mąż za tamtejszych Poloniuś, będzie to wyjaśnienie wykrętne. A kiedy dodam, że USA bierze czterdzieści pięć procent eksportu do KK, i że „Fameg” dba o takiego odbiorcę i jak coś z tym eksportem w USA stano, to zaraz poleciał na miejsce szef działu zbytu, Jerzy Urbański, który na pewno nie wyda się tam za żonę, bo własna krajowa i tak ścigania go poprzez „Interpol”, to polskiego nabywcę mebli mogą albo wnerwić, albo najwyżej rozbawić.

Na brak mebli w sklepach nie mają też zapewne wpływu informacje Niezależnej Agencji „Głos Famegu”, która donosi, jakoby w Magazynie Surowca Drzewnego zastosowano nową metodę produkcji alkoholu z drewna, ponieważ robotnicy rozpoczynają tam pracę na prosto, a kończą tańcem świętego Wita. To zdarza się wszędzie...

Jest natomiast wiele tzw. problemów, sięgających ponoć samego Pana Boga, jakkolwiek pod jego płaszczem kryją się ludzie, których nie rozwiąże nawet I sekretarz KZ PZPR — Jan Jankowski, który powinien mieć chody, bo jest posłem na Sejm.

2

Powtarza się stara śpiewka. Przemysł meblarski przez dziesiątki lat niedoinwestowany. Teraz są środki, zapłonęło zielone światło ale w dwa — trzy lata nie odrobi się dziesięciu lat, które były do tyłu.

— Mimo to — mówi tow. Jankowski — począwszy od 72, co roku zwię-

kszamy produkcję o 25-30 procent. Główny obiekt mieszczący się przy ul. 15 Grudnia, czyli Zakłady Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej, pęka w szwach, bo kiedyś nie myślano o budowie drugiej Polski i nieopatrznie sprzedano kawał ziemi, należącej do zakładów.

— I tak zostaliśmy otoczeni I ani kroku w bok — mówi sekretarz Propagandy KZ, Wojciech Mrówczyński. — Obstawili nas: PZGS, Spółdzielnia

## GIMNASTYKA W MEBLACH GIĘTYCH

Drzewna, cegielnia, filia „Sigmatexu”, w związku z czym nie możemy rozszerzać inwestycji poza zajmowany teren. A w ogóle to jesteśmy rozrzucony po mieście, w trzech miejscach. Najstarszy, stuletni oddział „Famegu”, zlokalizowany przy dworcu PKP, wkrótce ulegnie likwidacji. Przejmie go „Komuna Paryska”. I kto by pomyślał, że jesteśmy największym w świecie producentem krzesel i foteli...

„Fameg” zatrudnia pięć tysięcy pracowników. To tak, jakby, nie obrażając nikogo, wsadził do fabryki cały Sulejów razem ze wszystkimi radościami, smutkami i zgrzytami, którymi żyją mieszkańcy. Z każdym pracownikiem trzeba inaczej rozmawiać. Trzeba się wykazać podejściem pedagogicznym, psychologiczną wnikliwością. Bo załoga w przeważającej części to — określenie niepiękne — chłopo-robotnicy. Kłopoty z dowożeniem, spóźnienia, żniwne oraz wykopkowane nawalanki. Trafiają się ludzie, którzy mają ręce do siebie...

— Ale nie możemy tylko biadolić — mówi II sekretarz KZ, Cezary Gniatkowski. — Stanął obok jak zmore „Mostostal” i co? Część stolarzy i tokarzy odeszła, ale wielu wróciło. „Mostostal” niegroźny, tam inaczej się robi przeszło, niewiele ludzi potrzeba, natomiast u nas każdy element musi przejść przez ręce trzech — czterech pracowników. Groźniejszy jest Belchatów. Albo budowa szybkobieżnej trasy ze Śląska Budowniczości spotykają się pod Radomskiem i wtedy na pewno wyfruną od nas kierowcy.

— A obecnie nie odczuwacie braku pracowników?

— Brakuje ślusarzy i technologów drewna z wyższym wykształceniem. Ale mamy Zasadniczą Szkołę Drzewną i Technikum Przemysłu Drzewnego. Uczniów chętnych do nauki jest sporo.

Okazuje się, że w przemyśle meblarskim nie widać już srogiego majstra w zakłajstrowanym fartuchu. Ze względu na feminizację zawód upodobnił się do zawodu włókiennika. W meblach można obecnie zatrudnić siedemdziesiąt procent kobiet, ponieważ praca na maszynach jest lekka i popłatna i niektórzy nawet nie chcą przechodzić z maszyny na wyższe stanowisko, np. brygadzysty.

I to jest podcażające. Przyjemne jest również i to, że za solidne wykonanie foteli dla Centralnego Zespołu Artystycznego-Wojska Polskiego, przyjechały do „Famegu” trzy autokary wojskowych artystów, którzy gratisowo dali piękny koncert dla załogi.

Półki co, i ci z komitetu i ci z dyrekcji, wszyscy zresztą, głowią się, jak ruszyć kooperantów i co zrobić z tą cholerną wiosną w zimie, która też ma wpływ na wysokość produkcji mebli...

— Mam kolegę, który jest dyrektorem w Bieszczadzkich Zakładach Przemysłu Drzewnego. Wokół lasy, to z surowcem nie powinno być kłopotów. A wie pan, jak jest? — rzucił nagle pytanie dyrektor handlowy „Famegu”, inż. Jerzy Sitek. — Ciuchcia przywieźcie raz na parę dni piętnaście wagoników i zakład stoi. Wycofano z transportu koniki, a tu wiosna

przez całą zimę, grunt mokry, gąbczasty. Traktory i transportery gąsienicowe wjeżdżają w las i topią się. Z tego powodu już w IV kwartale ubiegłego roku brakowało nam normatywu w latach (półfabrykaty bukowe, z których wykonuje się elementy meblowe). Obecnie dostajemy materiał mokry, którego suszarnia nie nadąży przerabiać.

A co na to Zjednoczenie Przemysłu Tartaczno? Oni nie mają wpływu na warunki atmosferyczne. Kampanijny tok pracy został przerwany. Scinka powinna trwać od października, przerób w tartakach do końca kwietnia. Aura zwiariowała, z latami i tarcicą krach, „Fameg” w każdej chwili potrzebuje... 5 tysięcy metrów sześciennych buka.

— Brakuje nam również trzciny — włącza się szef produkcji, inżynier Edmund Kuć. — Ale to jest związane z produkcją eksportową, a pana interesuje rynek krajowy. Ja nie odpowiem, dlaczego w sklepach brakuje mebli. To jest pytanie do handlu. Ja mogę podać tylko dane, proszę bardzo: 72 r. — produkcja wartości 308 milionów dla rynku krajowego, 73 — już 381 milionów, w 74 było za 532 miliony, a w 75 będzie za 668 milionów. Jednocześnie wzrósł eksport do KK. Czy to źle?

— To dobrze! — śmieje się dyrektor Sitek. — To bardzo dobrze! Gorzej, że przy naszej dynamice wzrostu produkcji padli kooperanci. Chemicy, metalowcy i przemysł tartaczny nie nadążają, a włókiennicy tylko odgrążają się od lat, że będą dawać lepsze tkaniny.

No i teraz wychodzi sprawa kółek. W magazynach stoi gotowych zestawów wypoczynkowych produkcji krajowej (fotele i sofa jeżdżące) za 5 milionów złotych. Brakuje kółek orbitalnych. Po licznych telefonach obiecano podziurzyć 9,5 tys. importowanych. Ale korka nie da się szybko zlikwidować. No bo gdzie magazynować wyroby krajowe? Codziennie „Fameg” musi, nie licząc transportu samochodowego, wyeksportować 15 wagonów mebli.

A dalej idzie ciężki problem „uszczelki”. Od dwudziestu paru lat nie została uregulowana sprawa „duperek — uszczelek”, czyli wkrętów do mebli. A jak takich śrubek nie ma, to fabryka stoi! No i wkrętów nie ma i nie ma widoków, żeby je zdobyć. Ba, na teren producenta nikogo obcego nie wpuszczają! Trzeba używać znajomego kuzyna, żeby wkręcić się za bramę „Sporiszu” w Chelminie. Poza tym jakość wkrętów nie ulega poprawie i gdyby w Radomsku nie stosowano zastępczych, „Fameg” mógłby ogłosić plażę.

W takiej sytuacji trzeba działać na zasadzie dyrektora „Ja to załatwię”.

Zaskoczył podziękowaniem, czasem krzyknąć, czasem wpaść jak intruz, gdy dyrektor — kooperant nie zablokowany, różnie...

Za stosami tarcic widać konstrukcje nowych hal, do których przeniesie się magazyny. Młody inżynier, Józef Kocijański, lubi się pochwalić swoim zakładem.

RYSZARD BINKOWSKI

— Nowe hale z gotowych elementów sprowadzonych z NRD — mówi. — Stara hala magazynowa zostanie przystosowana do produkcji.

Nad wydziałem przyrzynałni długie, posrodku lejowate, rury metalowe. Cyklony. Tak w fabryce nazywają urządzenia odpylające, które działają na zasadzie odkurzacza. A wióry spod obrabiarek idą rurociągami do zakładu płyt wiórowych. Na domieszkę daje się drewno z nieużytecznych, nadających się jedynie do spalenia, kłód.

Robi się wszystko, aby zwiększyć produkcję i poprawić warunki pracy. Za dewizę sprowadzono z RFN nową linię lakierniczą. Wyszlifowane krzesło robotnik stawia na obrotowej podstawie w kabine i strzela z pistoletu natryskowego. Polakerowane stawia na taśmociąg, który niesie je do zhermetyzowanej suszarni. Obok znajduje się stara lakiernia Lakierowanie i suszenie odbywa się w pomieszczeniach otwartych. Smierdzi, trzeba wychać opary. Dodatkowa korzyść z wprowadzenia nowej linii: unika się jednodniowego sezonowania krzesel w magazynach.

Ciasnota doprowadza do tego, że teren zakładu wygląda jak plac inwestycyjny. Rozbudowa ciepłowni, mury wznoszonego biurowca. Daj Boże, aby znalazło się tam przyzwite miejsce dla plastyków. Bo jak dotąd w ciasnej pakamerze, zwanej szumnie wzorcownią, ludzie trącają się lokciami i wpadają na postawiony na stole eksponat w postaci sporej kanapy.

Przy jednej z rysownic siedział smagły mężczyzna, który nie mógł mówić. Bo jak twierdzą złośliwi, Henryk Garbiec ma limit na słowa i raz na kwartał coś powie. Za to fajnie rysuje w „Głosie Famegu” scenki z życia zakładu. Kiedyś nawet naczelny przeprowadzał śledztwo, czy on to ci jest na rysunku, czy nie on. Wówczas Garbiec wypowiedział dużo słów: „Byłem w jednej spółdzielni i widziałem taką scenę pod drzwiami prezesa. To jest ten prezes”. Dochodzenie umorzono, ponieważ naczelny nie jest pozbawiony poczucia humoru.

Z Garbcem więc nie zaczynałem, natomiast dłuższą pogawędkę uciąłem z mgr Aleksandrą Banek, która od dziesięciu lat pracuje w ZPM. Pani Aleksandra jest trochę zgorzkniała, inni projektanci również, czemu się wcale nie dziwię, bo w ciasnej wzorcowni, gdy za ścianą dudnią maszyny, trudno pracować. Jednakże plastyk musi przyjąć do pracy, odsiedzieć swoje osiem godzin, często beczynie, a i tak patrzy się nań podejrzliwie, bo jego pracy nie widać, wióry się nie sypią, procent normy nie wzrasta.

Aleksandra Banek zaprojektowała dotychczas około dwustu wzorów krzesel, foteli i innych mebli, z cze-

go weszło do produkcji zaledwie piętnaście. Pozostałe można obejrzeć na zdjęciach. Były wymodelowane, niektóre sprzedano, inne złomowano, ponieważ nie ma magazynu. Dokumentacji się nie prowadzi. Archiwum brak.

— Z góry wiem, że nie wszystkie moje projekty wejdą do produkcji. Wiem, bo gdy pojedę na giełdę, nie znajduję odpowiedniej dzianiny. To tylko jeden przykład. Tak samo jest z okuciami, bez których rozwój meblarstwa jest niemożliwy. Cóż z tego, że pójść doglądać produkcji mojego wzoru, skoro z braku odpowiednich materiałów po dwóch tygodniach ulega on całkowitej zmianie? Ponadto handel żąda wzorów mało odbiegających od tradycyjnych. Jeśli więc wykonamy jakiś nowy, oryginalny model, i to wysoko oceniony przez Komisję działającą przy Zjednoczeniu Przemysłu Meblarskiego w Poznaniu, handlowcy go nie kupią.

No tak, myślę sobie, to kto w takim razie ma kształtować gusty klientów? Popyt na meble jest duży i ludzie kupiliby wszystko, a kiedy pytają o nowości, o coś oryginalnego, handlowcy mówią, że nie ma, bo plastycy nie nie robią.

We wzorcowni „Famegu” mimo trudnych warunków modeluje się 60 wzorów rocznie, a 50 z nich przedstawia Komisja Oceny Nowych Wzorów. Przeciętnie 16 do 20 wprowadzanych jest do produkcji. W ogóle w ciągu roku produkowanych jest 160 różnych typów mebli. Oczywiście, połowa nowych wzorów z tych 20 oparta jest na dokumentacji odbiorców zagranicznych.

Główny konstruktor, inż. Stanisław Kielczewski, jest optymistą.

— W najbliższych latach liczymy na zwiększone dostawy ładnych kolorystycznie obić, okuć, a o skrzyniówkę nie musimy się martwić, bo jest dobra. Pozwoli to na wprowadzanie większej ilości wzorów do produkcji. W bieżącym roku mamy siedem nowych wyrobów, m.in. „Radosław” (rozkładana kanapa) i 2 rozkładane fotele, wypoczynkowy fotel obrotowy, krzesło tapicerowane, trzy modele foteli teatralnych i kinowych. W przyszłym roku będzie ich więcej.

Ciągle wzbogacanie wachlarza asortymentowego, uruchamianie produkcji nowoczesnych modnych zestawów wypoczynkowych, wymiana asortymentu krzesel twardych i tapicerowanych wymaga nakładów inwestycyjnych, które w ostatnich dwóch latach wyniosły 150 mln złotych. Wraz z rozwojem produkcji idą sprawy socjalne. Oddano dodatkowo 750 m kw. powierzchni na szatnie, umywalnie i jadalnie dla załogi; zakład nr 2 otrzymał nowy gabinet lekarski, poważnie rozbudowano Zakładową Przychodnię Przemysłową w zakładzie nr 1, podwyższono dodatki za pracę szkodliwą i uciążliwą.

Trochę nakrakałem, bo kłopotów jest rzeczywiście sporo, ale przecież załoga „Famegu” nie odstaje i wysoko należy ocenić jej gospodarność, zaangażowanie, dobrą organizację pracy oraz dbałość o ład i porządek. Pewnie przyrzeciam się do błahostek, ale myślę, że w toku wyczerpanej pracy warto pomyśleć także o plastykach. Może by ich tak wypuścić w plener? Niech sobie pomalują, odczują, niech przestaną patrzeć na krzesła. Potem przyjdzie natchnienie i zrodzą się jakie pomysły, których realizacji nie przeszkodzią nawet braki materiałowe...



Fot. Włodzimierz Paryś













# MAGAZYN

ODGŁOSY

Wracałem zamyślony do domu. Nagle przede mną wyrósł jakiś człowiek. Chcesz w morze — zachrypiał. Stałem jak wryty.

Albo dasz dychę, albo ci skuje pysk — warknął.

Odrobinę ochłoniąłem i spróbowałem spojrzeć na intruza. Był niższy ode mnie, w poplamionej, obszernej bluzie i dżinsach. Wąsy zmierzwił i długie zasłaniały mu pół ordynarnej i pewnej siebie gęby.

Musi być silne bydlę — pomyślałem. Wyjąłem portmonetkę i dałem mu do brudnej łapy 10 zł.

No, a teraz zjeżdżaj gnoju — pożegnał się ze mną.

Odszedłem spiesznie, ale pełen jakiejś wewnętrznej rozterki. Po chwili dobiegły mnie przekleństwa opryszka. Objeżdżawszy się ostrożnie zauważyłem, że znowu kogoś zatrzymał.

Mimo że doskonale zdawałem sobie sprawę z absurdalności i prymitywizmu takiego postępowania, jednak szybko skreśliłem za róg najbliższego domu

i stąd, z bezpiecznej odległości zacząłem obserwować zajście. Łobuzowi i tym razem wiodło

## ZDZISŁAW MARZEC NIEZŁE POPOŁUDNIE

się znakomicie. W końcu zacepiłony mężczyzna ruszył w moją stronę.

He mu pan zapłacił — zatrzymałem go obok kryjówki.

10 zł. — odpowiedział spłoszony, rozglądając się wokół. Nie nie rozumiem. Ja również — mruknąłem.

Spojrzelśmy na siebie. Zrobiło się trochę różniej.

Zaczekajmy tu — zapropono-

walem — zobaczymy co będzie dalej.

Po chwili było nas trzech. Trzeci kolega mocno przeżywał spotkanie z zabójczym brutalem. Gorączkował się. — Dobrze mu! niech płaci! niech płaci! jak wszyscy to wszyscy! — pokrzykiwał, gdy chuligan odbierał doł od kolejnego delikwenta. Musiałem go uciszać. Byliśmy w pobliżu grasującego łobuza.

Po kilkunastu minutach uzbierała się już nas spora gromadka. Atmosfera się poprawiała. Weterani, jeśli tak można powie-

jeden „przedobrzacz”. W pewnym momencie wychylił się zza naszego rogu i zaczął krzyżeć: — Panie chuliganie! panie chuliganie! — niech pan uważa, o tam, po drugiej stronie ulicy idzie gość w ciemnym garniturze. Proszę łaskawie spojrzeć, bo może jeszcze gdzieś skręcić.

Chuligan rzeczywiście to usłyszał, spojrzal i zamiast skoczyć do gościa, ruszył w naszym kierunku. Nastąpiła konsternacja. Nikt nie zdążył jednak zrobić kroku, gdy zbior był już przy nas. Stał, popatrzył na wszystkich długo, przeciągając... i nagle ryknął śmiechem. Niektórzy z nas również zaczęli się uśmiechać towarzysko. — Wy dumnie, idioci, cymbały, wy kulturyści, silne byki, wy mężczyźni — wołał zanosząc się od śmiechu. Patrzcie wy jeloły kim ja jestem — mówił dalej, rozpoczynając jednocześnie swoją obszerną bluzę i odgarniając włosy z czoła.

Powoli przestawaliśmy chłotać. Przed nami stała kobieta! Zupełnie autentyczna baba. Nie do wiary.

— No, i jak wam teraz przyki — krzyżała — mali bohaterowie co? orly, sokoly?

Spojrzelśmy po sobie. Tak. To były ostatnie słowa chuligana. Zatiukaliśmy go wszyscy. Czas wrzeszcze skończyć z awanturnictwem społecznego marginesu.

### MYŚLIWI USZY DO GÓRY!

Już wkrótce ukaże się pierwszy numer magazynu filmowego przeznaczony dla myśliwych oraz członków nagonki p.t. „Kinołowiec z Nagonką”. Jego naczelnym zadaniem będzie budzenie tęsknoty za filmem historycznym w borze, walka z pornografią oraz gawronami. Magazyn ozdobią liczne zdjęcia nagicz zwierząt i owłosionych gwiazd filmowych.

### BILANS ROCZNY

Po zakończeniu żmudnych prac nad bilansem naszej kinematografii za rok ubiegły stwierdzono z satysfakcją, iż przeważały w nim zdecydowanie filmy słuszne. Kapitaliści nigdy nie zrobią takiego bilansu, bo dobrze wiedzą, co by im wypadło. Do sprawy tej jeszcze powrócimy.

### MANIERY W MATERII

Brytyjczy naukowcy filmowi

nakręcili po raz pierwszy efektowne zderzenie się dwóch molekuł. Widać wyraźnie powstanie



wanie przy tym pewnej energii. Słychać też doskonale, jak molekuła, która spowodowała zderzenie mówi po angielsku: „Przepraszam”.

### KLASYCY NA WSI

W miejscowości Mańki pod Opielką, rolnik Stanisław Pazur pod wieczór usiłował dla żartu przewrócić tamtejszy młyn parowy. Przyglądający się tym wysiłkom Kierownik miejscowego kina nazwał Stanisława Pazura „polskim Don Kichotem”. Nieoczytany w klasykach rolnik nie dostrzegł ironii w tym oświadczeniu i młyn jednak przewrócił.

### JESZCZE JEDEN ARGUMENT

W Belgii nakręcono ostatnio ciekawy dokument antyalkoholowy. Polecono w nim dwóm osobnikom pić kielszkami: pierwszemu wódkę, drugiemu zaś mleko. I co zobaczyliśmy? Już po kilku takich kielszkach pierwszy z nich sięgnął po papiero-

sa, drugi natomiast czuł się nadal świetnie, nie licząc lekkiego bólu brzucha.

### SZYBKA POMOC TV

Do Kierownictwa TV w Warszawie nadeszło doniesienie, iż pod Kalszem mały Maciuś S. po obejrzeniu programu p.t. „Dobranoc” nie chce udać się na spoczynek. Natychmiast zarządzone ostre pogotowie i specjalna ekipa udała się w teren pod wskazany adres. Na miejscu, pod Kalszem, Kierowniczka Działu Dzielącego TV sama osobiście położyła się z Maciuśkiem S. do łóżeczka, likwidując w ten sposób przykry incydent. Przy okazji zachęcano rodziców, by sprawili Maciuśowi braciśzka, bo wspaniałe dziecko w żadnym wypadku nie należy.

## JACEK BROMSKI - STORY

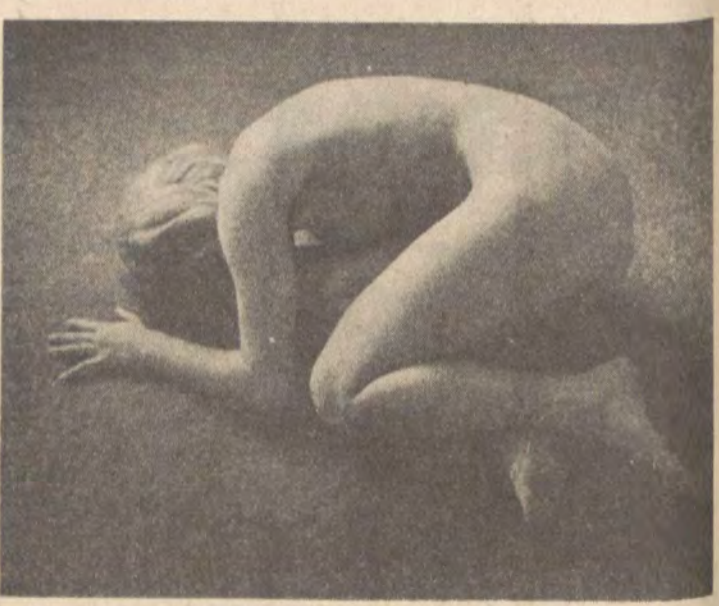


Foto: J. Staniewicz

## POWIĘKSZENIA

**NASUNIĘTE REFLEKSJE**

„Karol” z „Wiadomości Kutnowskich” dzieli się nasuniętymi refleksjami:

„Obserwując mecze z udziałem naszych zawodników, kiedy to bywa, że bardziej goni się za kostką przeciwnika niż piłką, a także nie szczędzą się krytycznych uwag sędziemu prowadzącemu mecz w bardzo niewyszukaną formie, nasuwają mi się niejako refleksje”.

Nasuwają się nam niejako rady:

- Nie gonć za kostką!
- Prowadź mecz w wyszukanej formie!
- Pisać poprawnie!

**OPTYMISTA**

„ELEGANCKA ŁAZIENKA W KAŻDYM (podkreślenie Powiększeń) MIESZKANIU” — nawołuje czytelników „Zweta Pabianie”, „Ziemii Łęczyskiej”, „Wiadomości Kutnowskich”, „Gazety Radomszczańskiej”, „Gazety Ziemi Piotrkowskiej” i „Gazety Bełchatowskiej” Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrzznego „PEWEX” oferuje swoim klientom „PŁYTKI CERAMICZNE ŚCIENNE I PODŁOGOWE w dużym wyborze wzorów i kolorów produkcji hiszpańskiej”. Płytki te można kupić w sklepach „PEWEXU” tylko „za waluty wymienialne i bony towarowe Banku PKO SA”.

Jeszcze nie w każdym mieszkaniu może być elegancka łazienka — niestety — ale przy każdym ogłoszeniu warto pomyśleć.

**WYJAŚNIŁI**

„Telegram, nadany do mnie w południe z Olkusza — skarży się jednej z warszawskich gazet mieszkaniec Waloowni — został przyjęty przez Urząd Pocztowy w Sławkowie w ciągu pół godziny, ale ja otrzymałem go dopiero nazajutrz rano”.

Gazeta wyjaśniła swemu czytelnikowi, że zgodnie z Ordynacją Telegraficzną wszystkie było w porządku — fakt że poczta podzieliła sobie kraj na obszary miejscowych i zamiejscowych doręczycieli, Walowniła znajduje się właśnie w obszarze doręczycieli zamiejscowych.

„...nadawca telegramu do osoby zamieszkałej w zamiejscowym obszarze doręczycieli — pisze warszawska gazeta — musi być przygotowany na to, że otrzyma go ona wraz ze zwykłą pocztą, względnie musi opłacić umyślnego posłańca (co oznacza się na blankiecie telegraficznym). Urzędnik pocztowy, przyjmujący telegram, powinien o tym poinformować nadawcę”.

Ale nie zawsze informuje. A poza tym, to poczta nie jest już w stanie zaskoczyć nas swoją wygodną bezradnością. Natomiast zaskakuje nas to, że coraz więcej ludzi spokojnie się godzi na podobne nonsensy.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44. 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróćłów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 529. U-10. Nr indeksu 37006/36763